

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 10 WRZEŚNIA 1927 ROKU

NR 37

TREŚĆ NUMERU: O pobłażliwości słów kilkoro — *J. Ł. W.* Działalność polityczna i społeczna Annie Besant — *A. Z. Boguszówna.* Wiersze: „Niedzielne popołudnie“ — *Marja Niklewiczowa.* „Wyścigi“ — *Zofja Miszewska.* Ucieczka (dok.) — *Felicja Kruszevska.* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Młaszewska.* Dożynki u Najpierwszego Gospodarza Polski — *S. P. O.* Ze sportu kobiecego — *R. C. H.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Morszyn-Zdrój — *Pani Elżbieta.* Pszczoły (dok.) — *W. D.* Utrzymanie mieszkania w porządku (dok.). Wrzesień w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Palta jesienne — *Well.* Poduszka z zielonego aksamitu. Koronka z tasiemeczki point lace. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz“ — *Douglas Goldring,* autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej.* Arkusz wzorów.

O POBŁAŻLIWOŚCI SŁÓW KILKORO

(Rozważania starego mizantropa)

Myślałem zawsze i wierzyłem w to głęboko, że pobłażliwość jest godnym zachwyty porywem serca. I dzisiaj wierzę jeszcze, że bywa nim — czasem! — ale byłem pewny również, że pobłażliwość jest dobroczynna. Teraz myślę inaczej. Pobudki jej nie mają zwykle tej szlachetności, jaką sobie wyobrażamy. A konsekwencje są demoralizujące.

* * *

Zwykle słyszy się zachwyty nad pobłażliwością starców. I przyznać należy, że spotyka się ją częściej u nich, niż u młodych. Jeżeli, starzejąc się, człowiek nie staje się przykrzejszy, niż był w młodości, musi z natury rzeczy, stać się przyjemniejszym, a więc pobłażliwszym — ponieważ z wiekiem zmienić się trzeba — Ale na czym polega ta pobłażliwość? Na pewnej mądrości: rozumie się bowiem lepiej życie, zna się lepiej słabość ludzką i swoją własną. Smutne doświadczenia uczą, jak trudną jest każda cnota, przypomina się sobie, iż nie zawsze było się doskonałym, że nawet czyny złe bywały często owocem ciężkich przejść i walk. Więc wydaje się wówczas amnestję ogólną: sobie i innym, nie postępującym lepiej, niż my w przeszłości. Tym sposobem człowiek stary staje się bez trudu szlachetnym i praktycznym.

Pobłażliwość osób starszych wynika jeszcze i z innych przyczyn. Pewne błędy, pewne winy, tolerowane przez nich z uśmiechem melancholji i sentymenciku, nie leżą już w zakresie ich możliwości. Spoglądają więc na nie z wysoka, z piedestału nieja-

ko. Zdaje mi się, że mężowie po sześćdziesiątce sądzą wiarołomstwo żon (cudzych!) w sposób mniej katoński, niż wówczas, gdy byli w kwiecie wieku; podobnie, jak sędziowie przysięgli, nieprzejednani, jeżeli chodzi o ukaranie przestępstwa, którego mogliby sami paść ofiarą, — wykazują pobłażliwość dziwnie łaskawą, gdy zbrodnia została popełniona w tych sferach, z jakimi nie łączy ich nic wspólnego.

Aby pobłażliwość starców istotnie miała wartość, jaką się jej przypisuje, niechże okazują oni ją tam, gdzie zadrażniony jest ich własny interes, własna skórka. Ponieważ jednak to się nie zdarza, pobłażanie takie, polegające przeważnie na wygaśnięciu pewnych zapalów i stępieniu niektórych drażliwości, jest mi również podejrzane, jak „cierpliwe“ znoszenie hałasów i krzyków przez ludzi głuchych.

* * *

Unikajmy starannie pomieszania pojęcia pobłażliwości z pojęciami: wyrozumiałość, dobroć, przebaczenie, miłość bliźniego. Czasami przybiera ona ich pozory, ale zasadniczo jest to zupełnie co innego.

Chociaż pobłażliwość przywłaszcza sobie prawo przebaczenia zła, wyrządzonego bliźniemu, nie ma jednak nic wspólnego z wybaczeniem. W wybaczeniu leży chęć zapomnienia winy. Pobłażliwość ogranicza się na odebraniu jej znaczenia. Nie myśli ona bynajmniej o zniszczeniu obrazu krzywdy, — jak to czyni wybaczenie — przeciwnie, daje ona jej niejako pozwolenie istnienia. I nie zapomina nigdy! Pełna zamasko-

wanej słodyczą pogardy dla tych nieszczęsnych, nie mających siły dobrze się prowadzić, oczekuje recydywy z rezygnacją, zmieszaną z ukrytą nadzieją ujrzenia niebawem znów błędów bliźniego.

I nie jest ona również dobrocią—o, nie! Istotna dobroć ma odwagę, szorstkość nawet, gdy trzeba; ma szacunek dla istot ludzkich. Nawet, gdy upadną, nie wątpi ona w możliwość reakcji zbawczej i wymaga jej. Nie godzi się ona miękko i układnie na zło. Chce, by chory wyzdrowiał. A jeżeli już niema żadnej nadziei, nie woła: „Biedni ludzie!“ Dobroć umie milczeć. Pobłażliwość jest gadatliwa.

I ta gadatliwość właśnie odróżnia ją wyraźnie od litości. Litość zarzuca płaszcz swój na wszystkie rzeczy brzydkie, na plamy i rany. Pobłażliwość lubi pomówić o winnym. Rozgrzesza go, co prawda, i życzy, by inni go rozgrzeszyli, ale musi przedyskutować winę do głębi. Nie wzrusza się i nie czuje litości, jest bowiem obojętna na zło i dobro. Nie zna też miłości bliźniego (charitas), gdyż miłość cierpi na widok krzywd i winy. A pobłażliwość — popatrzmy na nią: uśmiecha się i bawi się dobrze.

* * *

Otóż z przyczyn—nieznanych mi bliżej, ale zapewne niezbyt wzniosłych — jesteśmy dziś wszyscy bardzo pobłażliwi.

Ileż naszych bliskich znajomych, przyjaciół niedawno, ma na sumieniu brzydkie czyny — a mimo to, znosimy ich towarzystwo spokojnie. Żaden występki nie jest dziś wstanie złamać karjery. Nikt nie ma dość odwagi, czy siły, by zgromić podłość i odsunąć się od niej. Gdy stanie się jakiś głośny skandal, ludzie pogadają, poplotkują, a niebawem zaproszą do swojego domu osobę winną. Nie potępia się nic w sposób stanowczy. Rozporządzamy taką ilością pretekstów i wykrętów, że łatwo przykrywamy niemi grzechy, występki, a nawet zbrodnie. Jakże często słyszy się rozmowy w rodzaju następujących:

— O, zapewne, popełnił on okropne fałszerstwa i podłości — ale odznacza się tak żywą, wysoką inteligencją, taki jest przemiły...

— Ona... Hm, tak, tak... ale właściwie nie jest to zła kobieta, a przytem ubiera się ślicznie i można na nią liczyć...

— Ależ to znany oszust, ma dużo nieczystych sprawek na sumieniu; jednakże należy przymknąć oczy, bo umie być dobrym kolegą. A zresztą, co nas to obchodzi... Itp. Itd., bez końca!

Wynika stąd, że dziś można na wszystko się odważyć, a nie będzie się wyjętym z pod prawa. Wogóle prawa niema. Są dziś przyjaciele i przyjaciółki bez przyjaźni, uprzejmość—bez dobroci — jest — pobłażliwość!

* * *

Taki kierunek myślenia wypacza sąd. Jeżeli się przyzwyczajają do tego, że zło nie ma znaczenia,

ma się wówczas wrażenie, że jest ono wszędzie i oczekuje się go od wszystkich. Nawet o ludziach, których absolutna czystość zasługuje na nasz podziw, myślimy w głębi duszy, że są oni przecież zdolni do tych samych występków, co inni. I nie zdaje się nam nawet, że ich znieważamy: przecież występki jest błahe, nic nie znaczący!

Pobłażliwość zabija szacunek.

Wskutek pobłażania winnym, tłumaczenia występnych i bratania się z nimi, nie umiemy odróżnić tych, którzy nigdy nie upadli, którzy nie mogą upaść; a wskutek utraty możności szacunku przyjmujemy tak łatwo najpodlejsze potwarze i najśmieszniejsze plotki. Niema przed nimi obrony dla nikogo i wyjątkowe są dziś osoby, nie zabawiające się ich rozsiewaniem. Bo cóż to komu szkodzi? Żyjemy przecie dość blisko z panem X., z p. Z., z panią N. o bardzo ciemnej przeszłości. Jeżeli powtarzamy brzydkie, nieprawdopodobne słydy o osobach, bynajmniej nam niesympatycznych, o których wiemy jedynie to, że całe ich życie było bez zarzutu, to nie chcemy im szkodzić. Gdybyśmy wiedzieli, że zniszczymy je tym sposobem, o, wówczas zastanawialibyśmy się lepiej nad każdym słowem. Ale tak! Powtarzając plotkę o ich oszustwach, intrygach i t. p., nie robimy im nic złego. Nikt się dlatego nie odwróci od nich. Są podli— to rzecz znana—zresztą, jak wszyscy.

A jakie są skutki?

* * *

Jestem mizantropem, może dlatego znam tak dobrze Moljerowskiego „Mizantropa“. Przeczytajmy sobie tam scenę z portretami. Wielkie oburzenie Alcesta wzbudzi w nas śmiech. Czemu bowiem tak się oburza ten człowiek niemądry! Celimena powiada, że Damon jest gadatliwy i nieinteresujący, Gerolde—snobem, Belise—nudna, Adraste — próżny; że Timante nadaje sobie pozory tajemniczości, a Cléon, mimo swego kucharza, odznacza się głupotą. Wielka rzecz! My może jeszcze dziś wieczorem będziemy rozmawiali przyjaźnie, serdecznie nawet, z ludźmi, którym przypisujemy różne nieczyste sprawy pieniężne, lub obyczajowe. A jednak Alceste miał słusność w swym gniewie. Żartobliwe ploteczki Celimeny były gorsze w skutkach, niż nasze olbrzymie plotki. W tej epoce niedawnej, a tak od nas dalekiej, lekkie obmawianie bliźnich znaczyło więcej, niż dzisiaj oszczerstwo najlepiej zbudowane; istniało bowiem wówczas coś, co dzisiaj umarło: opinia.

...Kiedy zło i dobro nie są wyraźnie rozgraniczone, kiedy dusze żyją z dnia na dzień, bez ideału stałego — ideał nie znosi [targów i jest konsekwentnie nieustępliwy — kiedy sąd publiczny buja tam, gdzie wiatr zawieje, kiedy nikt nie ma ani pogardy, ani szacunku dla rzeczy określonych—wówczas nie może być opinii. W Polsce po wojnie opinii niema.

Niektórzy są z tego stanu bardzo zadowoleni — ale ci nie są najlepszymi członkami społeczeństwa.

* * *

Zagranicą pisze się i mówi dużo o niemoralności Polaków. Jesteśmy narodem o temperamentie żywym i namiętnościach łatwo zapalnych, ale nie dlatego spotyka nas—słuszna zresztą—ta krytyka. Powiedzmy sobie prawdę szczerze: że zło oburza nas na chwilę, a potem uśmiechamy się pobłażliwie; że czystości i nieczystości idą razem, przyjaźniąc się i bawiąc wspólnie; że nigdzie niema ani oburzenia, ani uznania; że nie umiemy potępić — dlatego staliśmy się narodem niemoralnym.

* * *

Czy nie należałoby reagować na tę zgubną słabość? Czy każdy z nas nie powinienby raczej schronić się w zacisze domowe, między swoich bliskich?

Rychło nastąpiłaby poprawa, gdybyśmy przestali mieszać wybaczenie uraz, nam wyrządzonych, z pobłażliwością, rozciągającą się na wszystkie winy, — a nawet, gdybyśmy przebaczeni łatwiej wówczas,

gdy ci, którzy nas skrzywdzili, ofiarują nam potem swoje usługi.

Starajmy się zachować przy życiu zdrowy odruch oburzenia na podłość. Ale objawiajmy oburzenie nasze inaczej, niż słowami, wygłaszanymi w nieobecności winnych. Jeżeli nie możemy kogoś szanować, miejmy odwagę zamknąć przed nim drzwi naszego domu, odmówmy mu naszej przyjaźni, nie podawajmy mu ręki.

Jeżeli przyzwyczajamy się nie wymagać nic od drugich, powoli przestajemy wymagać od siebie. Wymagajmy! Wymagajmy od winnych wstydu, który zupełnie zatracili. Nie pozwalajmy im tłumaczyć, że właśnie oni mają słuszość, że ich występki są bardziej wzruszające, niż wysiłki ludzi uczciwych. A potem—usuńmy ich z naszej drogi.

Nasze wielkie, piękne cnoty narodowe są wciąż i bardziej, niż kiedykolwiek, żywotne, tylko zagłuszają je zbliżenia, na które się godzimy. Trzeba, by większość narodu ukazała się czysta, oswobodzona od brudów zachwaszczającej mniejszości. Trzeba odbudować szacunek, który wznosi i utrzymuje gmach państwowości—i pogardę, która uzdrawia.

A pobłażliwość pozostawmy świętym! J. Ł. W



A. Z. BOGUSZÓWNA

DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNA I SPOŁECZNA ANNIE BESANT

Przed dziesięciu dniami bawiła w Warszawie słynna teozofka i działaczka społeczna, Annie Besant. Podając poniżej rys jej działalności społecznej i politycznej, zaznaczamy, że dalecy jesteśmy od zamiaru jakiegokolwiek propagandy jej teorii teozoficznych i religijnych. Nie wątpimy jednak, że postać i życie 84-letniej bojownicy o wolność człowieka, słynnej dziś na całym świecie, zainteresuje nasze Czytelniczki.

Mało jest znane w Polsce imię Annie Besant, mało wiemy o życiu i czynach tej niepospolitej jednostki, której działalność pozostawi niezatarte piętno na wielu dziedzinach życia. Bezpośrednia praca Annie Besant na polu społecznym, politycznym i wychowawczym obejmuje głównie Anglię i Indje, lecz wpływ jej zatacza o wiele szersze kręgi, dzięki reformom, którym dała początek, dzięki dziejom jej życia, z którego każdy bojownik słusznej sprawy czerpać może

natchnienie i uczyć się, jak żelazna wola umie spotykać i przewycięzać każdą trudność, niezłomnie przetrwać burzę fałszu, nienawiści i wzdargy — jak prawdziwa duchowa pogoda ostać się może wśród zawodów i zmagania i łagodnością odpiierać napaści.

Dlatego też życie Annie Besant nie stanowi wyłączonej własności Anglii i Indji, czy jakiegokolwiek kraju, lecz należy do wszystkich ludzi dobrej woli we wszystkich krajach ziemi, do wszystkich, którzy jakąś ideę, czy sprawę umiłowali gorąco.

Annie Besant, z pochodzenia pół-irlandka, przyniosła z sobą na świat bystrość wyobraźni, właściwą rasie celtyckiej, oraz płomienne serce, zdolne do wielkich ukochań. Wedle jej własnych słów, od najmłodszej młodości doznawała nieprzepartej potrzeby poświęcenia, ofiarowania się czemuś większemu od

siebie, i dzieje jej życia są dziejami poszukiwania tego „czegoś większego” — wielkości, godnej ofiary.

Najgłębszym umiłowaniem jej serca stała się Ludzkość — „Wielka Sierota”, jak ją nazywa, — której cierpienia wcześniej wzbudziły jej najgłębsze współczucie. Z miłości do ludzi szuka nowych dróg, nowych sposobów zmniejszenia cierpień świata; rzuca się, jako młoda kobieta, w wir pracy społecznej, żarliwie podtrzymując każdą sprawę, którą uznaje za słuszną, każdego człowieka, którego rzetelność poznała, wbrew wszystkiemu i wszystkim, kosztem osobistego szczęścia i dobrej sławy, wśród niewygód, ubóstwa i wyczerpanej pracy.

Bardzo religijna z natury, w surowym dogmatyzmie kościoła anglikańskiego nie znalazła ujścia dla swych mistycznych aspiracji i po długich wahaniach i latach męki wewnętrznej zerwała z nim zupełnie, pozbawiając się przez to opieki rodzinnej i dachu nad głową; zaczęła się ciężka praca dla zapewnienia bytu matce i małej córeczce. Annie Besant nie ustała jednak ani na chwilę w swej działalności społecznej; przeciwnie: w miarę, jak piętrzyły się trudności w jej osobistym życiu, wzmagala się zdolność zapomnienia o sobie w pracy dla drugich.

Praca społeczna Annie Besant w tym okresie jest zakrojona jeszcze na małą skalę: bierze udział w ruchu agrarnym, lecz raczej w charakterze osoby prywatnej, niosąc doraźną pomoc poszczególnym rodzinom zubożałych rolników.

Wszystko zmienia się w roku 1874, kiedy poraz pierwszy zetknęła się z ruchem Wolnomyślnym w Anglii.

Ruch ten nosił charakter nietylko filozoficzny, ale i socjalny. Liga Wolnomyślicieli zwana „National Secular Society”, z głównym przywódcą swym Charles Bradlanchem, popierała czynnie wszystkie kierunki wolnościowe w dziedzinie zarówno religijnej, jak społecznej i politycznej; walczyła o wolność wyznania, słowa i druku; głosiła wprawdzie pewne określone idee filozoficzne, lecz głównie domagała się wolności, prawości i rzetelności we wszystkich dziedzinach życia. Zamiłowana w wolności, natura Annie Besant znalazła tu pole dla coraz intensywniejszej pracy; zaczyna słowem i piórem głosić swą wiarę w ludzkość, wielką, wolną i szlachetną, występując w obronie wszystkich uciemnionych, wszystkich tych, którym wady ówczesnego ustroju społecznego zamykały drogę do swobodnego rozwoju.

Obejmuje wraz z Charles Bradlanchem kierownictwo dziennika „National Reformer”. Raz po raz ukazują się jej płomienne artykuły, poza szeregiem broszur treści filozoficznej i religijnej. Miewa odczyty we wszystkich miastach Anglii. 8-mio godzinny dzień pracy miał gorliwego rzecznika w Annie Besant, przygotowała ona grunt pod jego późniejsze wprowadzenie. Wraz z kilkoma współpracownikami rozpoczyna akcję dla połączenia tych wszystkich, którzy pragną „praco-



Annie Besant

wać dla człowieka”. Jako bezpośredni rezultat tej akcji powstaje pismo „Ogniwo” (the Link), prowadzone przez Annie Besant i Stead’a pod hasłem, wziętym z pism Victora Hugo: — „Lud jest milczeniem. Będę rzecznikiem tego milczenia. Będę mówić za wszystkich, którzy trwają w bezsłownej rozpacz... Będę słowem Ludu, skrwawionymi ustami, z których knebel wydarto; będę mówić wszystko...” I mówi wszystko:

O nędzy przedmieść Londynu, o wyzyskiwaniu robotników, o nadużyciach pracodawców, o samobójstwach, popełnianych z głodu i rozpacz. Walczy o bezpłatne obiady dla dzieci, o pracę dla bezrobotnych, którzy już wówczas istnieli w Londynie w liczbie 20 tysięcy, o słuszne podwyższenie płacy w fabrykach. Dzięki wysiłkom Annie Besant, kobiety, zatrudnione w fabrykach zapalek, łączą się w Ligę dla obrony swoich praw.

Tak trwa jej praca niezmordowanie aż do roku 1889, który miał się stać przełomowym w jej życiu.

Od dłuższego czasu Annie Besant zdawała sobie sprawę, że dla uleczenia cierpień społeczeństwa, trzeba było czegoś więcej niż to, co dotąd dać mogła. Nie udały się jej próby stworzenia zastępu pracowników absolutnie bezinteresownych, nie żądających nic dla siebie, a oddających wszystko w jednej myśli: — słu-

żyć sprawie Miłości. Wiele się dokonało, lecz jeszcze więcej pozostało niedokonanem. Skąd czerpać natchnienie, na jakiej zasadzie oprzeć urzeczywistnienie Braterstwa Ludzi?

Pytanie to wciąż stawało w myślach Annie Besant; prócz tego wzrastało w niej przekonanie, że filozofja życia, którą kierowała się dotąd, jest niedostateczna, że życie jest inne—i większe,—niż sobie wyobrażała.

W tym czasie nauka psychologii czyniła wielkie postępy, odsłaniając niezbadane głębie natury ludzkiej. Przed oczyma Annie Besant stawały fakty, których nie mogła pojąć, ani wytłumaczyć, a umysł jej był zbyt zaciekły w poszukiwaniu prawdy, zbyt wymagający, by zadowolić się odłożeniem ich rozpatrywania do spokojniejszej chwili. To też, mimo nawału pracy społecznej, znajdowała czas na studia, które wykazywały rzeczywiste podłoże zjawisk takich, jak jasnowidzenie i jasnosłyszenie, czytanie myśli i t p., nie dając jednak zadowalniającego ich wytłumaczenia. Przekonawszy się, że istnieje coś ukrytego, jakaś utajona siła,—postanowiła z zaciętym uporem szukać, aż znajdzie klucz do zrozumienia zagadki świata.

Przyszła wreszcie odpowiedź przez usta Heleny Bławackiej, założycielki Towarzystwa Teozoficznego, z którą Annie Besant zetknęła się na wiosnę 1889 r. Zarówno osoba Heleny Bławackiej, jak i jej pisma uczyniły na Annie Besant olbrzymie wrażenie, przekształcając cały jej dotychczasowy sposób patrzenia na świat. Ten przełom wewnętrzny pociągnął za sobą zupełną zmianę w życiu zewnętrznym; Annie Besant wstąpiła do Towarzystwa Teozoficznego i rozpoczęła nową pracę w świetle nowoodkrytych prawd. Znalazła odpowiedź i wyciągnęła ku światu bogate dłonie, które już nie tylko leczą, lecz hojnie rozdają. Ani na chwilę nie zaprzestała pracy społecznej: gdy stała się teozofką, wzmożła się jej miłość do ludzkości i umiejętność służenia.

Gdy zamieszkała w Indjach, cały wysiłek skierowała na religijne, społeczne i polityczne odrodzenie tego kraju, budząc patriotyzm, zakładając związki i stowarzyszenia dla oczyszczenia Indyj od zgubnych zwyczajów, jak małżeństwa dziecinne, nadużycia różnic kastowych i t. p. Walczyła o wolność Indyj — o wolność zewnętrzną, dążąc do tego, by kraj ten zdobył jaknajdalej idący samorząd, i o wolność wewnętrzną, przez wyrabianie w zakładanych przez siebie szkołach i związkach typu człowieka wolnego, wyzwolonego z przesądów, a trwałego w dobrem: obywatela, świadomego swych praw i obowiązków.

Odczyty, które miała w 1913 roku w Indjach, zostały wydane pod zbiorowym tytułem: „Wake up India! — „Zbudźcie się, Indje!“ W następnym roku zakupiła dziennik „Madras Standard“, który do dziś dnia redaguje p. t.: „New India“ — „Nowe Indje“.

Działalność polityczna wprowadziła ją w konflikt z rządem wicekróla, i spowodowała czasowe internowanie samej Annie Besant i jej pomocników G. S. Arundale'a i B. P. Wadia. Wskutek ogólnego oburzenia, została wkrótce uwolniona i w roku 1917 zasiada, jako przewodnicząca obradom Narodowego Wszehindyjskiego Kongresu w Kalkucie, poruszając zagadnienia wychowania narodowego, reformy prawa karnego, podniesienia niższych klas i t. p.

Rozumiejąc, że „młodzież jest przyszłością narodu“, Annie Besant zwraca na nią baczną uwagę. Staje się inicjatorką ruchu skautowskiego w Indjach i jest dziś honorowym naczelnikiem skautingu Hinduskiego. Dzięki jej staraniom i energicznej współpracy oddanych jej członków Towarzystwa Teozoficznego i pokrewnych organizacji, pokryły się Indje siecią szkół.

Wychowanie dzieci, należących do najniższych kast „Pauchama“, było zupełnie zaniedbane.

Annie Besant założyła dla tych, stawianych poza nawiasem społeczeństwa, istot szereg szkół „Pauchama Schools“.

Lecz ukoronowaniem jej wysiłków dla podniesienia poziomu kultury hinduskiej jest założenie „Central Hindu Colledge“ w Benares — pierwszego uniwersytetu hinduskiego, gdyż dotąd istniały w Indjach tylko uniwersytety angielskie, ograniczające prawa krajowców. W Central Hindu Colledge zarząd składać się może tylko z rodowitych Hindusów. Wdzięczność uczyniła jedynie wyjątek dla osoby Dr. Annie Besant.

Mimo ogromu obowiązków, jakie nakłada na nią stanowisko Prezesa Towarzystwa Teozoficznego, które do dziś piastuje, nie zaniedbuje Annie Besant teoretycznej pracy nad zagadnieniami społecznymi. Znalazła ona rozwiązanie wielu palących problemów ekonomicznych, narodowościowych, klasowych w wielkiej idei braterstwa i przynosi je światu w pismach swoich oraz w licznych odczytach o treści ekonomiczno-socjalnej, które wygłasza w różnych krajach Europy, Ameryki i Azji. Gdyż mimo podeszłego wieku jest Annie Besant niezmordowanym podróżnikiem, rzucającym na różne gleby siew swoich wielkich idei.

Gdziekolwiek przemawia,—uczy tolerancji i wzajemnego zrozumienia, nawołuje jednostki, klasy i narody do harmonijnej współpracy, do rozstrzygania różniących je sporów w świetle miłości, nie zaś nienawiści.

Gdziekolwiek przejdzie,—budzi w sercach ludzkich uczucie, jakgdyby przeszedł po nich wiatr z górskich szczytów, który wymiata wszystko, co małe i powszednie, a przynosi wieść nową i święte słowo: Zbudźcie się, dzieci Światła, które jesteście dziećmi Ziemi! w miłości złączcie bratnie dłonie na rycerski pochód Ludzkości odrodzonej i triumfującej ku zorzy Nowego Dnia!

MARJA NIKLEWICZOWA

NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

Niema w domu nikogo, prócz samotnie brzęczącej muchy.
 Do mnie należą kroki, spojrzenia me własne i ruchy.
 Myśl o myśl nie potrąci, ręka ręki nie spotka.
 (Woń rezedy za oknem jest cicha, dyskretna i słodka.)
 Nikt nie spyta o klucze, ani też: która godzina?
 nie powie: „przyjdź na chwileczkę“ ani: „to twoja wina,
 i nikt potrzebny, ciekawy, głodny, skrzywdzony, kochany
 nie będzie drzwi otwierać, zbliżać się do mej ściany.
 A gdy wieczorem wrócą z naręczem kwiatów, relacji, —
 zaraz zmęczeni, śpiący zabiorą się do kolacji,
 i na nic nie będzie czasu; więc mi wypłoszyć nie zdążą
 dalekich, mroczących serce..
 przelotów z mórz i miast, co w pokojach bezgłośnie krążą.

ZOFJA MISZEWSKA

WYŚCIGI

U startu. Słodki bezwład rozsnuwa się w żyłach
 Słońce oczy upija krwawo-białem winem —
 Wtem! kula barw ożyła, zaraz w górę śmigniel
 Wzdłuż nóg lotnych rytm biegu miękka falą spływa.

Heu-hel plac się okręca, jak węzowe ciało,
 Coś wzrosło pod nogami i jak nurt opada —
 Heu-hel przeszkody płasko u nóg się pokładły,
 Wiatr w uszach gra warjacje na melodję — bravo! —

Jeszcze jeden lot w górę, pysk bieleje pianą,
 Nad placem łuki biegów chwieją się faliście.
 Jeszcze jeden lot w górę, w płucach strach zaświstał..
 Finish! rozkosze stajni i miły chrzęst siana.



FELICJA KRUSZEWSKA

2

U C I E C Z K A

— Jerzyk musi hałasować, bo ma dopiero lat dwa-
naście — myśli z przyzwyczajenia Marynka, ale nie
wysuwa się na uderzenie dwóch małych przeciw-
nych fal.

Wanda z niechętną miną przynosi z kuchni sza-
firowy imbryk z wrzątkiem. — Ja nie będę pił herba-
ty — oświadcza Jerzyk i spuszcza zachmurzone oczy
na ceratę.

— Dosyć, dosyć — powtarza sobie Marynka wsta-
jąc. Sięga do torebki i wyjmuje z niej dwa złote. — Skocz
no, Jerzyku, do cukierni i przynieś parę ciastek. Za-
pomniałam przynieść, a przecie dziś pierwszy.

— Marynko, po co te zbytki?! — mówi (jak zwy-
kle) matka. Jerzyk w jednej chwili w czapce i płas-
szcu (mała, zawadająca radość) wylatuje, trzasnąwszy
drzwiami. — Dla mnie rurkę z kremem! — krzyczy
za nim Wanda.

I wszystko na chwilę roztapia się w pogodnej,
lepkiej słodyczy ciastek z kremem. Cyka zegar. Różowe
pelargonje chwieją się na powietrzu. Tłusty odór gro-
chówki wypełził przez otwarte okno. Matka ze sma-
kiem pije herbatę i spogląda na Marynkę z rozrzew-
nieniem. — Zmizerniałaś, córeczko, — tyle miałaś tych po-
biurówek w ostatnich czasach. — Marynka zaciska ręce
na kolanach, żeby ich nie położyć na opancerzonym
sercu. (Ach, kłamstwo, kłamstwo! Spotkania w pach-
nącym ogrodzie radości. Skoki z zamkniętymi ocz-
kami w przepaść, po brzegi pełną róż. Przyjeżdż, przy-
jeżdż!) Zrywa się na spotkanie tej chwili. Zrywa się
dla zadania ciosu. Wychwytuje z rąk niecierplivej
Wandy pudełko z pantoflami. Z suchym szelestem
opada rozdarty cienki papier. Poderwane nagle wiecz-
ko ukazuje oczom radosny błysk złotych literek na
lśniącej bieli wnętrza. W przewietrzony pokój sący
się słaby, świeży zapach skóry.

Wanda z wypiekami na twarzy przesuwając z lu-
bością palce wzdłuż przesłonicznej linii zaokrąglonych
czubków. Matka (schyliła się była po sznurek i spla-
ta go starannie w misterne kółeczko) patrzy w mil-
czeniu na podniesiony wysoko, nieoczekiwany cud.
Jerzyk wsadził ręce w kieszenie kurtki i wydobył z sie-
bie przeciągły, przenikliwy gwizd. — Tak! właśnie tak! —
krzyczy w myśli Marynka i mówi trochę schrypnię-
tym głosem: — no co?

— Ile zapłaciłaś? — pyta nieprzyjaznym głosem
Wanda i odczytuje sobie pocichu nazwę firmy. Ma-
rynka nie odpowiada na pytanie i patrzy zuchwale,
prosto w oczy matki. — No co?

Matka cofa się, szarzeje jeszcze bardziej i za-
czyna po chwili nieśmiałym głosem: — Ja myślę, że są
trochę niepraktyczne...

— Otóż to! Otóż to! — krzyczy znowu w myśli Ma-
rynka i zachłystuje się nagle ostrą, przejmującą ra-
dością.

Wanda spojrzała na pantofle, potem na własne
stopy, potem znów na pantofle. — Kiedy pójdę na ze-
branie do Stefy... Nie! Nie! Nie! — myśli Marynka.

— Ja zawsze sobie robię wyrzuty, — zaczyna tym-
czasem matka, że tak mało mogę wam dopomóc, że
nie mogę was ubrać tak, jakbym chciała. Gdyby żył
wasz ojciec... Resztę słów rozmazuje w cichutkim,
zbiedzonym płaczu.

I podniesiony nóż Marynki oślizguje się po stru-
dze tych łez.

— Mamusiul — krzyczy Wanda, rzucając się
matce na szyję. Matka całuje długo i serdecznie Wan-
dę, krótko i trochę nieśmiało Marynkę (matka zwa-
żyła w myśli oba te pocałunki i na szali obok tego
krótkiego postawiła pantofle), potem odchodzi do
kuchni myć naczynie. Marynka odnosi pudełko
z pantoflami do „panieńskiego“ pokoju i po chwili
wraca znów do jadalni, żeby odpowiadać figurkom,
obrazkom i pelargonjom swoje stanowcze nie.

Jerzyk z hałasem wytrząsa na stół książki z ober-
wanej teczki. — Pomóż mi zrobić zadanie, Marynku! —
Marynka otwiera książkę i przygotowuje uszy do du-
kania Jerzyka. Z kuchni dochodzi rozdrażniony, wy-
soki głos Wandy i gubiąca się w brzęku talerzy i chlus-
taniu wody odpowiedź matki. — Znowu lecisz? Moje
dziecko, ty nigdy nie posiedzisz w domu.

— Wanda poza kursami siedzi prawie ciągle w do-
mu, Wanda ma dwadzieścia lat i musi się przejść
w taki dzień — myśli z niechęcią Marynka i zagłu-
sza nieprzyjemny szmer dwóch krzyżujących się fal.
(Przyjeżdż, przyjeżdż!)

Wieczorem Marynka przyniosła zawczasu po-
trzebne rzeczy do kuchni. Siadywała tam często no-
cą, żeby nie budzić innych. Ucałowała na dobranoc
Jerzyka, podała Wandzie książkę do łóżka (—tylko nie
czytaj długo—) i, zwinąwszy rękawy bluzki, zabrała się
do smarowania pleców matki. (Ten mdły zapach chlo-
roformu).

— O tak, o tak, więcej pod krzyżami, na prawo—
komenderowała matka. A w międzyczasie skarżyła
się na Wandę. Taki latawiec się z niej robił byle z do-
mu. I do roboty nie taka chętna, jak dawniej.

— No, trudno, mamusiul: młoda jest; ale przecie
uczy się dobrze, — tłumaczyła łagodnie Marynka i pa-

trzymała na żółtawe, obwisłe ciało. (Jak tu uderzyć? Jak tu uderzyć?)

— Egoistka. Nie to, co ty. Ty też (jeszcze) jesteś młoda, a wszystko... cały czas... Już nie wiem, cobym robiła bez ciebie... Moje dobre, najlepsze dziecko...

Marynka odwróciła się i prędko postawiła na szafce butelkę z lekarstwem. Zdawało jej się, że musi mieć w tej chwili wolne ręce, żeby niemi pochwycić pęknięty pancerz. Wiedziała, że trzeba będzie mocno i ślepo uderzyć w tył, za siebie. I to jedno pozostawało: ucieczka. Przyłożyła na chwilę usta do zmarszczonej, posiekanej dłoni. — A ty jeszcze masz robotę; tylko nie siedź długo, córeczko. —

— Nie, nie. Dobranoc mamie.

Nareszcie zamknęła Marynka za sobą drzwi od kuchni. Przez otwarte okno wpadał co chwila wiatr i poruszał papierową firanką na półce. (Ach, te wystrzygane wzorki!) Z kranu kropla po kropli spadała dźwięcznie woda.

Marynka spojrzała na zegarek i obliczyła radośnie odległość od dworca. Potem podeszła do okna i umocniła raz jeszcze pancerz na sobie. Odprasowała starannie kostjum. (Na krześle leżała zmiana najcieńszej bielizny, jedwabne pończochy i kapelusz — na stole w pudełku pantofle). Przeliczyła (uważnie) pieniądze w torebce i część ich położyła na stole. Podeszła do okna. Spojrzawszy w bok, przekonała się, że w panińskim pokoju było już ciemno. Na chwilę przytknęła oczy i wysunęła twarz na wiatr. (Za parę godzin nie taki, nie taki wiatr z okna pociągu, pędzącego wśród mokrych łąk. — Przyjedź, przyjedź! —) Skok prosto w wiosnę, w dolinę bzów, skąd wytryskują, jak strużki wody, wysokie, wilgotne, pytające krzyki słowików. Na ustach, na szyi otwierają się rany, zadane pieścizotą tamtych bezlitosnych, drapieźnych warg. Błysk spadającego noża prosto w zbiele, przerażone oczy matki. (—Wolałabym cię na marach widzieć).

Marynka usiadła przy stole, żeby zatrzaskać ostatnie drzwi tym listem.

— Czy nie czujecie, że już od was odeszłam,—pisze i strąca piórem ze stołu brązowego prusaka. (Trzebaby przynieść znów tego płynu na robactwo. Nitki. Nitki.)

Marynka buduje za sobą ścianę z trzeźwych, praktycznych słów:—Pieniądze zostawiam. Emerytura mamy z tem, co wuj od czasu do czasu przysyła, powinna wam wystarczyć, tembardziej, że Jerzyk tak dobrze się uczy i zwolnią go napewno znów od wpi-su. Wanda jest już dorosła, niech nareszcie pomyśli o sobie. Kwit za komorne...

Marynka skończyła list, położyła go przy pieniąd-
zach; spojrzała na zegarek i wstała, żeby się ubrać na niepowrotną drogę. Wyjęła z pudełka pantofle i postawiła je na stole: małe skrzydlate sandały szczęścia. (Potem podeszła na palcach do drzwi i przyłożyła ucho do dziurki od klucza). Matka po-

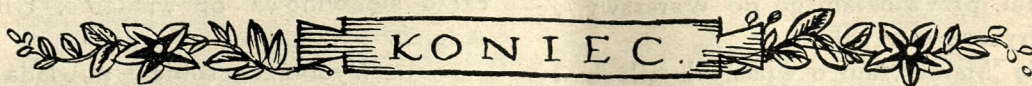
chrapywała zcicha. Marynka odetchnęła z ulgą. Odchodząc, potknęła się o jakiś przedmiot na podłodze. Z niechęcią spojrzała wdół: stały tam, tuż koło siebie, przygotowane do rannego czyszczenia, dwie pary butów: Jerzyka i matki. Prześlizgnęła się najpierw obojętnie oczami po butach brata. Śmieszne, szerokie, zabłocone (wiecznie!) buldożki. A potem spojrzała na buty matki. Były niewiarogodnie brzydkie. Zdawna już widać zatraciły wszelki naturalny kształt. Pożółkła, chropowata, cerowana skóra wydymała się tu i owdzie, naśladowując artretyczne obrzmienia. Przysiadły bezradnie i biednie na zdeptanych obcasach. Zboku zwieszało się niezdarnie zrudziałe sznurowadło. Miały wyraz bezbronny i zatroskany. Miały poprostu wyraz twarzy matki. Oczy Marynki, zmrużone z obrzydzenia, pobiegły do stołu, do radosnego widoku połyskujących matowo w płomieniu świecy pantofli, a potem opadły znów na czające się pod ścianą potwory. Ta krótka droga oczu sprawiła nieoczekiwany ból.—Nie! nie! nie!—powtórzyła w myśli Marynka. Poraz pierwszy powtórzyła to ze strachem. Bo oto uczuła nagle, zupełnie bezsensownie, że te koślawe buciska wołają do niej o jakiejś ogromnej krzywdzie.—Nie! nie! nie! broniła się z rozpaczą,—to nie ma sensu! To nic nie znaczy!—Ale to właśnie znaczyło wszystko. I Marynka, słańając się nad straszliwymi butami, zrozumiała w tej chwili, że już niema dla niej ratunku. Wiedziała, że jakaś nieustępliwa siła nakaże jej wsunąć rwa-
ce się do ucieczki stopy w tamto sponiewierane obu-
wie i odmierzyć w niem okropną, beznadziejną dro-
gę—drogę, wiodącą zpowrotem do domu, drogę matki.

Skurczona na krześle, ze skrońmi, ujętymi twardo w dłonie, rozpoczęła Marynka tę męczącą wędrówkę. Chodziła tak wciąż i wciąż, ciągle wkołko, a coraz dalsza wszystkiemu. Chodząc, nawiązywała wszystkie zerwane mozolnie nici. Nie oszczędzonym jej został ani jeden cierń, ani jeden kamień, na tej drodze leżą-
cy. Poznała wówczas straszliwą niewolę macierzyń-
stwa, gorycz wyrzeczenia się i okropność ciągłego odchodzenia ludzi i rzeczy. W wędrówce swej stawa-
ła nad grobami i patrzyła w przeraźliwą pustkę opu-
szczenia. Ręce jej osłabły od odsuwania chorób, bó-
łów i trosk, zachodziły mgłą oczy, zmęczone od cią-
głego czuwania. Czowała na ramionach dolegliwy ciężar starości i jeszcze większy ciężar beznadziei. Aż wre-
ście potknęła się i upadła pod ciosem niewiadomej, morderczej ręki. Wtedy to, leżąc w straszliwej pustce, uczuła w piersi swój własny nóż i zrozumiała, że to była jej ucieczka.

Niewiadomo, co się zrobiło z czasem, ale naj-
widoczniej nadchodził świt, kiedy Marynka, blada z wyczerpania, podnosiła się z tego upadku. Uczyni-
wszy nadmierny wysiłek, ocknęła się znów nad ku-
chennym stołem, w samym środku domu. Z trudem rozprostowała skurczone ciało. Z surową twarzą wzię-
ła w rękę pantofle i cisnęła je do pudełka: dziwnie obce, niepotrzebne, odarte ze skrzydeł—sandały dale-

kiego szczęścia. (Trzeba będzie odprzedać, może która z koleżanek kupi, wczoraj był pierwszy.) Dygocząc z zimna, zamknęła okno. (Bledziutkie różowe niebo, bledziutkie żółtawe listeczki akacji na podwórzu). Potem wróciła do stołu, przeczytała swój list i w drobne strzępki papieru rozwaliła ścianę, która miała bronić jej powrotu. Potem sięgnęła do torebki i jednym ruchem ręki uciszyła cudowne daremne wołanie: przy-

jedź! — Kiedy zaś wspaniała szcząteczki listów pod płytę, pilnie zdmuchując czepiające się fajerek strzępy, podeszła cicho do drzwi i wzięła na ręce biedne, koślawe potwory. Przyklękawszy koło pieca, zabrała się do ich czyszczenia. Czyściła je starannie, tarła sumiennie szczotką i miękką irchową ściereczką, — a gdyby mogła wziąć własne stężale serce, czyniłaby to sercem.



W. MIŁASZEWSKA

10

KACZĘTA

(powieść)

5 sierpnia.

Chyba się nigdy w życiu tyle nie rozpisałam o sobie, co wczoraj. Zarwałam znów kawałek nocy i dziś chodziłam rozespana po domu, aż się kucharka nadziwić nie mogła.

Ale czasem to tak na człowieka najdzie, niewiadomo co i niewiadomo skąd.

A głównie, jak w domu pusto, dzieci niema, niema tych kłopotów i gospodarskich spraw, to sobie nieraz godzinami, z robótką jaką usiadłszy, o przeszłości rozmyślam. Teraz mi niczego nie żal: Bóg dobry sprawił, że od śmierci Antolki jakbym własną rodzinę znalazła, a jej dzieci tak kocham, że chyba swoich bardziejbym nie potrafiła.

Jak już z Antolką było bardzo źle i po księdza posłali, przywołała mnie do siebie. Uklękłam przy niej i ucho przyłożyłam prawie do jej ust, bo już mówiła tak cicho i z trudem, jakby ją każde słowo przyprawiało o duży wysiłek. To mię wtedy Antolka, suwając chudemi rączynami po kołdrze, prosiła, żebym zaopiekowała się i wychowała sieroty, skoro już jej Bóg nie dozwolił.

— Niech—mówiła—Bóg ci to za zasługę wielką policzy, że tym biedakom matkę zastąpisz...

A potem kazała sobie przynieść Marka, którego w sąsiednim pokoju przewijała akuszerka. Trzymałam dziecko na rękach przed nią, żeby się napatrzyła. Antolka bardzo długo, bardzo uważnie przypatrywała się maleństwu, a nie zapomnę nigdy tych jej oczu. Zdawały się jeszcze dwa razy większe w sinych obwódkach i takie smutne, jak u Matki Boskiej Bolesnej, co pod krzyżem stoi i na syna spogląda.

Co chciałam zabrać Marka, żeby już sobie Antolka serca nie krwawiła przed śmiercią, to ona głowę na poduszce parę razy z wysiłkiem obróci i szepce:

— Muszę mu się przypatrzeć, bobym go jeszcze na tamtym świecie nie poznała, jak się kiedyś spotkamy.

Pamiętam, jak dziś, do końca życia chyba nie zapomnę, w godzinę śmierci wspominać będę tę chwilę, gdy się Marek gwałtownie rozplakał na matczyne słowa.

Antolka uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

— Nie teraz jeszcze, synku, nie. Kiedyś...

Właśnie przyszedł ksiądz z wiatykiem, więc płaczącego Marka zabrałam i potem sama beczałam tak długo, aż mię zawołano, że Antolka wyspowiadała się i ostatnie sakramenty przyjmować będzie.

Potem, ile razy Mareczek był chory, pamiętam, drżałam zawsze, czy aby Antolka nie zawołała go do siebie... Ot, nie mogłam się pozbyć tej myśli upartej, że Antolka strasznie Marka ciekawa, jaki wyrósł, i że pewnie u Boga sobie uprosiła, żeby jaknajprędzej tego najmłodszego synka zobaczyć...

Znowu zamyśliłam się smutno, czas na głupstwa tracę, a tu dla Teofila trzeba jeszcze herbatę przygotować, bo zapowiedział, że choć późno dziś wróci, to się herbaty szklanekę jeszcze napije, byle była gorąca.

12 sierpnia.

Jeszcze teraz, jak sobie tę chwilę przypomnę, serce mi z przerażenia bije...

Zesłam właśnie na dół po cykorję, bo jej do kawy zabrakło. Wychodzę przed bramę, aż tu patrzę, dorożka przed domem stoi, Adelka na chodniku z woreczką pieniądze wydobywa, a w dorożce siedzi Marek z obwiązaną głową.

Chryste Panie! Byłabym go nawet nie poznała, bo z pod tych bandażów ledwie nos wystawał i oczy.

Stałam w miejscu, jak wryta, zupełnie, jakby mi w ziemię nogi wrosły; nie mogłam słowa z gardła wydobyć.

Adelka właśnie obróciła się i do mnie:

— Al to ciocia! Dzień dobry, dzień dobry, kochana ciociu! Właśnie Marka odwożę, bo sobie o kamienie głowę rozbił. Co ciocia tak w miejscu stoi, jak słup soli? Markowi nic nie będzie, niech się ciocia uspokoi. Trochę się pokrwawił, a że skórę na głowie porozcinał, przywiozłam go do Warszawy, żeby mu doktor fryzurę ostrzygł.

Właśnie się Marek sam o własnych siłach wygramolił z dorożki, więc nabrałam trochę otuchy i dopiero pytam:

— Co? Jak? Kiedy?

Adelka śmieje się i odpowiada:

— Wczoraj Marek z konia spadł i trochę się pokiereszował. Nic wielkiego. Byliśmy właśnie w szpitalu; prosto z kolei zajechaliśmy, i doktor Markowi łepetynę obwiązał, jak się patrzy, czego felczer kopytowski zrobić należycie nie potrafił.

Przeżegnałam się krzyżem świętym i dopiero do Marka podbiegłam, w ramiona go chwyciłam, aż syknął.

— Niech mię ciocia za rękę nie bierze, bom ją trochę potłukł.

Głos miał jakby zmieniony od tych bandaży. Dopiero się ocknęłam na dobre.

— Jezus, Marja!—wołam—to mogło być straszne nieszczęście!

Ale Marek z fantazją powiada:

— Głupstwo, ciociu.

A Adelcia:

— Powtarzam, głowę trochę rozbił i tyle. Po śniadaniu jesteście? Głodna jestem, jak wilk, i strasznie niewyspana, bośmy o czwartej rano wstali, żeby zdążyć na pociąg.

Już i tej cykorji zapomniałam kupić, poszliśmy na górę, a po drodze Adelcia opowiadała, jak było:

— Marek strasznie swawolił na tym wujka ogierze, to musiało się tak skończyć. Dobrze, że i tak. Mógł całkiem głowę rozbić o kamienie, bo na strasznie ostre kamienie upadł, po środku rzeczulki.

Tak opowiadała Adelcia, a ja zupełnie, jakbym Marka widziała leżącego z roztrzaskaną głową, nieruchomego i we krwi. Łzy mi nabiegły do oczu, ale zahamowałam je i tylko pytam Marka:

— Boli cię bardzo?

— Pewnie, że trochę boli. Ale mi najbardziej żal, że już pewnie z tym ogierem skończone.

— O, co to, to napewno! — zawołała Adelka. — Ciocia Amelka o mało nie zemdląta, jak zobaczyła

Marka, a potem wujowi scenę zrobiła, że Markowi narowistego konia dał do tej jazdy.

— On wcale nie jest narowisty, tylko strasznie miękki w pysku, a ja go zanadto za uzdę ściągnęłam, i to przez to...

— Przez to, czy nie przez to, dość, że cię wyrzucił z siodła, i wszyscy przeżyliśmy przez ciebie miłą chwilę.

Na gorze chłopcy siedzieli przy śniadaniu. Zaczęło się odnowa opowiadanie, tylko z dodatkami Adelci:

— Wyobraźcie sobie — powiada — jutro miał być wieczorek u wujostwa; specjalnie dla mnie gości sprosil, zaproszenia rozesłali, a tu przez tego Marka wszystko przepadło.

— Możesz jeszcze dziś wrócić — wtrącił Marek.

— Mogę? A właśnie, że nie mogę, bo z nóg lecę ze zmęczenia. Wiesz, Stasiu, całą drogę staliśmy w przedziale i jeszcze ktoś mi pod bokiem kufrysko ustawił, że zupełnie plecy obilał sobie o żelazne okucia.

Staś na Marka patrzył i co i raz dogadywał:

— Wyglądasz, jak baba, w tych powijakach. Albo:

— Nie wstyd ci, że to nie na wojnie tylko tak, poprostu z konia i to jeszcze przez niedołęstwo?

— A właśnie, że nie! Wcale nie! Ja zupełnie dobrze jeżdżę, i wujaszek mówił, że się doskonale trzymam na koniu.

— O, widzę, widzę, jakieś się pięknie utrzymał, aż głową porozbijając kamienie.

Widziałam, że Marek strasznie był zły na Stasia, chociaż Staś mu nie naumyślnie dokuczył. Staś już ma taki język, że wytrzymać nie może i zawsze się z kogoś wysmiewa.

Z Teofilem jakoś nie zaczyna, ale to pewnie dlatego, że dopiero przedwczoraj wrócił z tej Leśniczówki. Bardzo go zatrzymywali, ale się uparł wracać do Warszawy.

Ciekawam, poco się tak śpieszył, przecież politechnika zacznie się dopiero na jesieni, to jeszcze moc czasu.

Oho, ja już się trochę domysłam, że Stasia ta polityka i to wojsko ciągnie do Warszawy.

Ledwie przyjechał, naschodziło się do niego kolegów i do późnej nocy siedzieli. Niedopałków papierosowych rano pełniutką popielniczkę znalazłam, a jeszcze powtykali, jak mogli: w doniczki od kwiatów, w futrynę okna, gdzie któremu było najbliżej...

Chwała Bogu, że się z tym Markiem dobrze skończyło, ale co ja przeżyłam, co ja przeżyłam wtedy, jakem go zobaczyła!





Msza polowa w Spale

DOŻYNKI U NAJPIERWSZEGO GOSPODARZA POLSKI

Tęczą łowickich wełniaków migające zaproszenia oznajmiały o dożynkach w Spale.

Centralny związek kółek rolniczych, centralny związek młodzieży wiejskiej i związek teatrów ludowych wzięły w swe ręce sprężystą organizację. Już

w wilgę dnia tłumy ludu ściągnęły z dalszych okolic kraju. A w niedzielę od świtu turkotały furmanki od Rawy, od Tomaszowa, ze wszystkich stron, pełne kiecek barwnych, chustek żółtych i czerwonych, spencerów i sukman starodawnych, bo ludzi z pod tych



Poleszycy z Pińczyczy



Ślżacy z Cieszyńskiego



Najpiękniejsze przodownice



Wołyniacy

kraśnych szmat widać nie było. Olbrzymie lasy spaliskie chłoneły w siebie wielotysięczny tłum, topniejący w ich cieniach, jak rosa poranna. Skoro jednak ustawili się czwórkami w długi rząd do pochodu, defilada przed Prezydentem trwała blisko godzinę.

Wrażenie imponujące. Widzieliśmy już niejednokrotnie wspaniałe rewje wojskowe. To był przegląd sił twórczych i plennych, znojem swym błogosławionych. Wielka rewja pracy. Szły chłopcy stuletnie w zapomnianych sukmanach, ze słońcem na srebrnych włosach, i dziewczuchy, jak malowanie, i chłopaki w sobie krzepkie, jak dębczaki, i młode matki z dziećmi na rękach, niby symbol płodnego lata. Wzruszający był widok czterech takich młodych mateczek, krocących w jednym rzędzie, każda z niemowlęciem na rękach. Po defiladzie przechodzimy na drugą stronę pałacu. Tu nowa niespodzianka. Olbrzymia polana, ujęta w ciemną ramę lasu,

zakwitła tysiącem kwiatów czerwonych, białych, żółtych, modrych i liljowych. To delegacje po defiladzie rozłożyły się na murawie, w oczekiwaniu na kulminacyjny punkt uroczystości: składanie wianków dożynkowych. Długim, wąskim korytarzem, wyciętym w ciszbie ludzkiej, niczem żywe szpalery, kroczą zwolna przodownice wszystkich ziem Polski. Każda z wieńcem, a jeden od drugiego piękniejszy. I każda ziemia wita Gospodarza Polsk

swoją własną, prastarą, wiekami uświęconą pieśnią dożynkową. Oracja starosty dożynkowego, pana Solarza, wprowadza poważniejszą nutę do nastroju chwili. Ale otóż i sandomierska drużyna. Kilkanaście par, strojnych, jak tanecznicy z „Wesela”. Oberek na odsiebkę przy dźwiękach huculskiej kapeli. A potem klasyczny krakowiak z przyspiewkami improwizowanymi, jak na prawdziwych dożynkach, gdzie wolno każdemu dociąć, jeśli na to zasłużył.



Kapela huculska

Staje przed muzyką dziewczyna z chłopakiem
i śpiewa:

„A nasz Pan Gospodarz
Ma dziś dużo gości,
Bo żyje z narodem
W serdecznej równości“.

Dalej, raz dokoła! Przetkańczyli! Następna para:

„W Spale na ganeczku
Zakwitła różyczka,
Niema lepszej pani,
Jak Pani Mościcka“.

„Dziadkowa kasztanka
Podkówkami bije;
Nasz Dziadek kochany
Niech nam sto lat żyje!“

„Pan marszałek Rataj
Jest chłopskiego rodu,
Wybrany z miłości
I z woli narodu.“

Chłopa się nie wstydzi,
Jeszcze się nim chwali,
Widać go mamusia
Dobrze wychowali“.

„Minister rolnictwa
Od chłopa zdaleka:
Zapatrzył się w rolę,
Nie widzi człowieka.“

A nasz pan minister
Jest bardzo powolny,
Bo nie może zrobić
Tej reformy rolnej“.

„Minister oświaty
Ma biedy niemało,
Bo nam wszystkim naraz
Uczyć się zachciało“.

„Minister od jazdy,
To bardzo morowy:
Obtanił furmankę
Jaze do połowy“.

A po tańcach i pieśniach—tradycyjny poczęstunek na murawie. A potem zawody sportowe, gry, płyty, aż do późnej nocy.

Spiętrzyły się naokół Prezydenta stopy wieńców dożynkowych, tryskające pióropuszcami kwiatów, opasane wrzosem, umajone kaliną. Jeny ostu w nich nie było i kąkolu. Szczerem sercem były ofiarowane.

A najpiękniejszy z tych wieńców, słońce pozłociste, przyswiewcało łaskawie temu dniowi uroczystemu, błogosławiąc Gospodarzowi i czeladce pracowitej, trudom, plonom i zasiewom.

S. P. O.



Kuronianki

ZE SPORTU KOBIECEGO

Udział kobiet w Igrzyskach Olimpijskich—Pięciobój eliminacyjny pań

Pierwsze trzy Olimpijady sportowe odbyły się bez udziału w nich kobiet. Dopiero podczas IV-ej Olimpijady w Londynie w zawodach stanęły do konkurencji łyżwiarki i tenisistki. Z czasem coraz więcej konkurencji olimpijskich stają się dostępnymi dla płci słabszej.

W ostatnich Igrzyskach, odbytych w Colombes pod Paryżem w roku 1924-ym, na dwadzieścia sportów kobiety wzięły udział w pięciu z nich, mianowicie w szermierce, tenisie, pływaniu, sportach zimowych i gimnastyce (pokazy).

W międzyczasie sfery kobiece zainteresowały się lekką atletyką, która w programach olimpijskich zajmuje najpocześniejsze miejsce. Ostatnie trzy lata stanowią dla lekkiej atletyki okres niebywałego rozwoju, co uwydatniło się dobitnie w ustaleniu w tym czasie ogromnej ilości rekordów kobiecych.

Polski sport niewieści również ostatnio rozwija się bardzo pomyślnie, że wspomnimy tu tylko o sukce-

sach narciarskich pani Zientkiewiczowej, o doskonałe klasie tenisowej w osobach Wiery Rychterówny i pani Dubieńskiej, oraz o świetnym naszym kobiecym dyskobolu, pani Konopackiej. Zachęczone tak pomyślnymi wynikami swych treningów sportsmenki zapukały wreszcie energicznie do wrót Olimpijady światowej.

I oto do programu IX-ej Olimpijady, która odbędzie się w roku przyszłym w Amsterdamie, poraz pierwszy wstawiono pięć punktów kobiecej lekkiej atletyki.

Należy się spodziewać, że X-ta Olimpijada ilość tę znacznie jeszcze powiększy. Narazie konkurencja pań dopuszczona będzie do biegów płaskich na 100 i 800 mt., do skoków wzwyż, rzutu dyskiem oraz do biegów rozstawnych 4×100 metrów.

Dla Polski nowość ta posiada duże znaczenie, możemy się bowiem poszczycić szeregiem zawodniczek, które wytrzymują konkurencję z przedstawicielkami czołowych grup europejskich. Znakomita Konopacka w rzucie dyskiem ma jedną tylko groźną konkurentkę w osobie Niemki p. Reutel.

Przedolimpijskie przygotowania i wytrwały trening mogą jeszcze w dużym stopniu podnieść wartość sportową naszych lekkoatletek.

W powyższym celu w Poznaniu przy Centralnej wojskowej szkole gimnastyki i sportu zostaje zorganizowany Kondycyjny Obóz przedolimpijski dla przedstawicielek polskiego sportu na IX-ej Olimpijadzie w Amsterdamie.

Obóz ten rozpoczął się dnia 25-go sierpnia r. b. i trwać będzie przez sześć tygodni.

Koszta utrzymania i przejazdu zawodniczek ponosi Polski Komitet Olimpijski. Na miejscu zapewnią pomoc trenerów Norlinga i Klumberga oraz masażysty Ziemkiewicza.

Obóz obliczony jest na 15 zawodniczek. Ogółem jednak P. Z. L. A. zakwalifikował 21 kobiet.

Spodziewamy się, że polskie sportsmenki nie zawiodą nadziei w nich pokładanych i przyczynią się do powodzenia barw polskich na Igrzyskach amsterdamskich.

* * *

W dniu 4-ym września odbył się w Warszawie międzynarodowy pięciobój kobiet w lekkiej atletyce z udziałem Polski, Łotwy, Austrii i Czechosłowacji.

W celu ustalenia składu naszej reprezentacji na tym meczu, P. Z. L. A. zorganizował w dn. 21-ym sierpnia, na boisku Parku Sobieskiego, zawody elimina-



Cztery najlepsze wieloboistki: Lanżancka (Poznań), Jasna (Kraków) „Cracovia”, Konopacka — (Warszawa) A. Z. S. Schabińska W. K. S. „Legja”

cyjne, do których stanęło 12 przedstawicielek polskiej lekkiej atletyki z Krakowa, Warszawy, Poznania i Torunia.

Rozpoczęto zawody od skoku w dal. Zwyciężyła Lanżanka (A. Z. S., Poznań) 449 ctm., 2) Freiwaldówna (Makabi, Kraków) 446, 3) Jabłczyńska (A. Z. S.) 440, 4) Konopacka—434.

Bieg 60 mtr. zakończył się zasłużonym zwycięstwem Gędziorowskiej, najlepszej obecnie sprinterki polskiej.

Wyniki: 1) Gędziorowska (T. K. S., Toruń) 8.3 sek., 2) Kasprzakówna (Sokół, Poznań) 8.4 sek. 3) Czajkowska, (Warszawa) 8.5 sek. 4) Lanżanka (A.Z.S. Poznań) 8.6. Rzut oszczepem przyniósł Warszawie niespodziewany sukces, w postaci zwycięstwa Rittnerówny i Schabińskiej nad specjalistką w tej konkurencji Lanżanką.

Wyniki: 1) Rittnerówna—25.30. 2) Schabińska 23.43. 3) Lanżanka—23.36, 4) Konopacka—22.50.

Rzut dyskiem. Mistrzyni świata Konopacka zwyciężyła tu łatwo, z wynikiem 33.08, 2) Jasna (Cracowia) 29.61, 3) Rittnerówna—27.68, 4) Schabińska—25.91, 5) Lanżanka—24.12.

Bieg na 200 mtr. przynosi znowu zwycięstwo Gędziorowskiej.

Wyniki: 1) Gędziorowska 29.2 sek. 2) Czajkowska 29.4 sek. 3) Woynarowska 29.7 4) Freiwaldówna.

W obliczeniu ogólnym zwyciężyła Konopacka (2.898 punktów), jedynie dzięki bezkonkurencyjnemu rzutowi dyskiem, który zapewnił jej tak wielką przewagę punktów. Dalsze miejsca zajęły: 2) Lanżanka, najwszechstronniejsza z zawodniczek 3) Schabińska, 4) Jasna.

Pierwsze trzy panie będą reprezentowały Polskę na zawodach międzynarodowych, 4-ta stanowi rezerwę.

R. C. H.



Eliminacyjne zawody w pięcioboju kobiecym. Pierwsze miejsce w skoku w dal zajęła świetna lekkoatletka poznańska p. Lanżanka

KOBIETA W ŚWIEGIE I W DOMU

PIERWSZE MUZEUM IMIENIA KOBIETY

W Bremie otwarto muzeum imienia malarki Pauli Becker-Modersohn. Artystka ta, zmarła w 31 roku życia, pozostawiła, mimo tak wczesnego skonu, szereg prac, stawiających ją w rzędzie wielkich talentów. Rodzinne miasto oddało jej hołd,—pierwszy w swoim rodzaju, gdyż nie było dotychczas przykładu tego rodzaju fundacji, noszącej imię kobiece. W muzeum znajduje się kilkanaście obrazów Pauli Becker-Modersohn. Oprócz galerji, poświęconej jej pamięci, znajdują się tam obszerne sale wystawowe, pracownie malarskie, a także lokale dla klubów artystycznych miasta.

N. J.

MIĘDZYNARODOWE OGNISKO STUDENTEK W LONDYNIE

Staraniem Międzynarodowego Związku Studentek powstało w Londynie ognisko, którego zadaniem jest dać gościnę wszystkim kobietom, studującym w stolicy Anglii.

Międzynarodowy Związek Studentek staje na gruncie powszechnego braterstwa narodów, przy jednoczesnym uszanowaniu ich praw i odrębności, jednoczy istotnie wszystkie kobiety - akademicki w siostrzanej współpracy. Chodziło mu też najwięcej o stworzenie dla nich ogniska, ułatwiającego im życie i studia. Świeżo otwarte schronisko spełni doskonale to zadanie.

Znajduje się ono w Crosby Hall, gmachu, wybudowanym jeszcze w roku 1466 przez Sir Johna Crosby, wielkiego ówczesnego potentata finansowego, którego ambicją było posiadać najpiękniejszy dom w stolicy. W pałacu Crosby bawili najwyżsi dostojnicy, nie wyłączając osób z rodziny królewskiej, i wielkich artystów, jak Holbein. W 16 wieku dom ten przeszedł na własność uczonego kanclerza państwa, znanego w epoce renesansu, Tomasza Morusa.

W roku 1908 starożytna budowla została zagrożona rozbiórką. Wielki bank międzynarodowy zakupił gmach wraz z pla-



Moment rzutu oszczepem przez p. Jasną—Kraków

cem, chcąc wystawić na tem miejscu dom w stylu nowoczesnym. Powstało jednak konsorcjum, które, zebrawszy fundusze, dokonało przeniesienia starego pałacu do Chelsea, na jedno z przedmieść Londynu, gdzie odbudowano go najdokładniej. Obecnie rząd подарował budynek angielskiemu Związkowi Studentek, który stanowi sekcję narodową powszechnego międzynarodowego Związku akademickiego.

Poświęcenie ogniska odbyło się wyjątkowo uroczystie, w obecności królowej Aleksandry, rządu i ciała dyplomatycznego, przedstawiciele 45 państw, nie wyłączając tak egzotycznych i dalekich, jak Meksyk, Chiny, Persja i t. p.

W Crosby Hall znajdują się wspaniałe sale zebrań, biblioteki, oraz kilkadziesiąt pokoi mieszkalnych. Niektóre z nich urządzone zostały kosztem związków studenckich innych krajów. Jeden ufundowała królowa Aleksandra, inny królowa Norwegji; jeden, t. zw. Fawcett-room, urządony został z funduszy, zebranych z okazji 80 rocznicy urodzin jednej z najstarszych pionierek ruchu kobiecego w Anglii, pani Fawcett, która oświadczyła, że taki „podarek” będzie jej najmilszym prezentem jubileuszowym N. J.

ROZWÓD W CIĄGU 10-CIU MINUT

Amerykanie, to najlepsi businessmen świata. Istnieje przysłowie, że „z pustego i sam Salomon nie naleje”. Może—Salomon! ale nie Amerykanie. Dowodem tego jest następujący fakt:

W stanie Missouri istnieje „sobie” miasteczko Starville City; miejscina owa, położona gdzieś w zapadłym kącie, żyła swem maleńkiem, nudnym życiem, nie posiadając w murach swoich nic godnego uwagi, nic, coby mogło sprowadzić do niej dolarodajne rzesze turystów.

Od czego jednak są ojcowie miasta? Gentlemani ci, po długich naradach, postanowili zainstalować u siebie osobliwość nie ladajaką.

Wybrańcem ich stał się genialny sędzia, niejaki John Crookson, który zasłynął tem, że niemniej, jak sześć razy umiał szczęśliwie zawinąć do portu małżeńskiego, aby się z niego najmniej ilości razy... wywinąć.

Sędzia ów, posiadając w dziedzinie rozwodów tak znakomite doświadczenie osobiste, a życząc bliźnim swoim nie gorzej, niż samemu sobie, doszedł do takiej wprawy w ferowaniu wyroków rozwodowych, że cała procedura, nawet w zakłamanych wypadkach, nie trwała u niego dłużej, jak dziesięć minut.

Więść o tem gruchnęła niebawem po wszystkich okolicznych stanach.

I oto do cichej i zapomnianej miejsciny zaczęły się cisnąć wkrótce takie rzesze łaknących rozwodu par małżeńskich, że zabrakło wkrótce miejsca w hotelach, zaczęto budować i zakładać nowe restauracje, sklepy, kina...

Aby przyjezdnych takich zatrzymać jaknajdłużej w mieście, gmina ze swej strony wydała przepis, że z prawa do wniesienia skargi rozwodowej przed trybunał w Starville City mogą korzystać tylko ci, którzy wykażą się conajmniej półrocznym zamieszkaniem w mieście.

Czyż podobna pomysłowość nie powinna zaimponować naszym śpiącym Rypinom, czy Małkiniom? My, polacy, na szczęście nie rozwodzimy się tak „nagminnie”, jak Amerykanie, ale istnieje tyle innych sposobów ożywienia ruchu w miasteczkach. Od czegoż inwencja? R. C. H.

OSOBLIWE ZWIERCIADŁA

Pewna ekspedycja angielskich archeologów, zbierając materiały do historii kolonij brytyjskich, dokonała ciekawego odkrycia.

W pewnej wsi indyjskiej, w pobliżu Hazelton w Kolumbji brytyjskiej, znaleziono kilka luster kamiennych, używanych przed wiekami przez pewien szczep indyjski, zamieszkały w dolinie Skeen.

Ciekawe te egzemplarze składają się z cienkiej warstwy czarnego kamienia, którego dolna część wydłuża się w specjalną rączkę, a powierzchnia jest doskonale wypolerowana.

Jeden z członków szczepu indjan hazeltonskich objaśnił członkom ekspedycji, w jaki sposób używano kamieni tych, jako zwierciadeł.

Abym przejrzeć się w kamiennem lustrze, należało uprzednio zwilżyć jego powierzchnię, wówczas twarz ludzka ukazywała się w niem zupełnie ostro i wyraźnie. Niezwykle te zwierciadła były używane przez mężów indyjskich podczas przygotowań do tańców wojennych i uroczystości szczepowych. R. C. H.



Annie Besant przybywa do Warszawy (patrz artykuł na str. 3)

PIERWSZA PROFESORKA UNIwersYTETU W NIEMCZECH

Doktorka Paulina Hartwig mianowana została nadzwyczajnym profesorem filozofji w uniwersytecie berlińskim. Jest to pierwsza w Niemczech profesorka. Panna Hartwig pracowała przez kilka lat jako asystentka w Instytucie biologicznym. Prócz pracy zawodowej znana jest z działalności społecznej i politycznej. N. J.

WSTYDLIWA OTERO.

W ubiegłym miesiącu przed sądem nicejskim rozegrał się proces, który obudził wiele wesołości i stał się tematem rozmów dla całej Rivieri.

Znany malarz francuski Jan Gabrjel Doumergue posiada w Antibes willę, w której podczas miesięcy letnich gościł grono kolegów, artystów-malarzy.

Młodzi ludzie zwykli byli kąpać się każdego wczesnego ranka w morzu, w miejscu zupełnie odosobnionem i dlatego, nie krępując się strojem, obywali się nawet bez najbardziej zredukowanego kostjumu.

Los zrządził, że w pobliżu znajdowała się willa pewnej cnotliwej damy, której mimowoli często zdarzało się widzieć kąpiących się malarzy.

Dama ta, zgorzozna widowiskiem, zawiadomiła policję o „nie-moralnem zachowaniu się” swoich wesołych sąsiadów, a ponieważ między artystami, a przedstawicielami policji doszło do ostrej utarczki słownej, sprawa znalazła epilog przed sądem.

Wielkie było zdziwienie oskarżonych, gdy dowiedzieli się, że damą, nie znoszącą nawet myśli, iż w sąsiedztwie jej kąpią się nadzy mężczyźni, była słynna przed laty w całej Europie „la belle Otéro”, której burzliwa przeszłość mało usprawiedliwiała podobną pruderję. Sąd skazał artystów za zakłócenie spokoju publicznego na zapłacenie kary w wysokości 25-ciu franków. R. C. H.



MORSZYN-ZDRÓJ

O szesnastu kilometrach od Stryja, otoczony wspaniałymi świerkowymi lasami, których wojna nie potrafiła zniszczyć, w kilkudziesięciomorgowym, starannie utrzymanym parku, leży polski Marjenbad i Tenczyn jednocześnie: — Morszyn-Zdrój. Centrem, sercem jakgdyby tej miejscowości kąpielowej, jest zakład dietetyczny, zostający pod bezpośrednią opieką i kierunkiem lekarza zdrojowego dra. K. Chmieleńskiego, — zakład, w którym według potrzeby tuczą, lub obchudzają, a zawsze zdrowo i starannie odżywają pacjentów. Jest to, zresztą, jedyny pensjonat, zadawalający pewne kulturalne wymagania: pozanim są tylko skromne dworki przy szosie, gdzie się lokują z konieczności ci, co w zakładzie miejsca nie znaleźli. A miejsc tych jest mało: 60—70 osób najwyżej może znaleźć schronienie pod tym, prawdziwie gościnnym, dachem. Kuracjusze lokują się w sąsiednich wsiach, nawet w Stryju, z którym istnieje wygodna komunikacja kolejowa (pięć par pociągów dziennie), przyczem dworzec w Morszynie znajduje się naprzeciw parku, w którym się mieszczą łaźienki i pijalnia.

Dziwne to w dzisiejszych czasach uzdrowisko: — ani jazz-bandu, ani dancingu, spokój i cisza, — cisza taka, że aż w uszach dzwoni, — odpoczynek dla umysłu i nerwów zupełny. Ci, co nie mogą się obejść bez rozrywek, mogą używać rozmaitych zabaw „sielsko-anielskich“; starsi uprawiają, przerywanego tylko zabiegami leczniczymi i posiłkami, bridge'a lub preferansa, młodzi zawzięcie grają w tenisa, a wszyscy polują na nowe zmiany gazet, — polowanie często bezskuteczne, — i czynią zadość swemu pociągowi do muzyki, słuchając bądź przez liczne słuchawki, bądź przez doskonały głośnik — produkcję radja.

Aparat ten, ostatnie słowo techniki broadcastingowej, jest tak czuły, że oprócz żywego słowa i muzyki od Moskwy do Londynu, poprzez całą Europę, — do czego jest obowiązany z urzędu, — łapie jeszcze nadprogramowo wszystkie pioruny, grzmoty i drobniejsze wyładowania elektryczności, również z Europy całej, co dla normalnych uszu jest mniej przyjemne.

Kuracja tutejsza jest bardzo poważna: wody — źródło Ś-go Bonifacego — zawierają 32% soli mineralnych, są prawie gęste od nich; używać ich w stanie czystym nie można wcale: pije się je rozcieńczone radjoczynnym źródłem „Morszynką“, które wytryska u stóp figury Najświętszej Panny, w końcu ślicznej alei grabowej w parku zakładowym. Statua ta, nie będąc żadnym arcydziełem, jest jednak śliczna, i wyraz nieziemskiej dobroci, malujący się na twarzy Matki Boskiej, pozostawia niezapomniane wrażenie; to też kuracjusze specjalnym kultem otaczają swoją naturalną, ze sklepień drzew uformowaną, kapliczkę: Wciąż u stóp Najświętszej Panny płoną świece i leżą świeże wiązanki kwiatów. A kiedy w święto, lub w wilgę świętą, — w myśl słów Chrystusa: „Gdzie jest kilku zebranych w Imię Moje, tam Ja jestem z nimi“ — wszyscy mieszkańcy zakładu zbiorą się w iluminowanej świeczkami-wotami alei na wspólną modlitwę — wytwarza się nastrój tak podniosły, że żadne najwspanialsze katedry i tury dać równie pięknego nie potrafią. Okolice obfitują w ładne spacery; dobrze utrzymane drogi zachęcają do nich. Śliczną jest kapliczka mnicha na wzgórzu, a raczej nie sama kapliczka, lecz widok, jaki się stąd odkrywa — na piękne Bieszczady — odnogi Beskidów, — porośnięte ciemnymi lasami i wznoszące się tarasami na horyzoncie.

Najniższe kondygnacje prawie czarne, wyższe — coraz jaśniejsze, aż najwyższa, zaledwie konturami mglistymi rysująca się na horyzoncie, zlewa się z nim prawie.

Kapliczka była zupełnie zniszczona przez wojnę, pociski ścięły przy ziemi cztery olbrzymie lipy, co ją ocieniały; teraz po dwu jej stronach widnieją gęstymi rzędami groby poległych w tej wojnie. Po jednej stronie prawosławne, czy unickie, po drugiej — katolickie krzyże, — nieprzyjaciele, czy towarzysze broni, — niewiadomo, — dzisiaj w zgodzie i spokoju śpią snem wiecznym.

Gdy przyjdzie święto, lub niedziela, — koniec ciszy i spokoju: po szosie mknie auto za autem: a wycieczkowicze ze Stryja, lub z Truskawca, z Drohobycza, lub Borysławia, — poza „upper-ten'em“

w autach—setki dorożek, bryczek, wehikułów bez określonej nazwy, — kurz i hałas na drodze; całodzienny dancing w żydowskiej restauracyjce, orkiestra rżnie charlestone'y i blues'y. Szczęściem, park zakładowy jest tak rozległy, że można znaleźć cudne zakątki, gdzie odgłosy tych zabaw nie dochodzą. Lecz dochodzą, niestety, setki spacerowiczów, przeważnie z „mniejszości narodowej“, która uważa, że napis na bramie, „osobom, nie należącym do zakładu, wstęp wzbroniony“, jej nie obowiązuje.

Prawdziwy unikat w wieku pary i elektryczności stanowi morszyńska warzelnia soli. Zwiedzając ten, zresztą bardzo czysto i porządnie utrzymany, zakład, turysta czuje się odrazu cofniętym jeśli nie do epoki kamiennej, to do jakiejś, mniej w historii cywilizacji znanej, epoki drzewnej. Solanka drewnianymi kubelkami jest czerpana z drewnianych studni, po drewnianych rynnach spływa do drewnianych rezerwarów; z nich jest przewożona w drewnianych beczkach do łazienek, lub też przelewana drewnianymi konewkami do drewnianych korytek, czy niecułek, gdzie się krystalizuje. W końcu dostaje się jakiejś drewnianej halucynacji i zaczyna się nam здаwać, że kotły do warzenia soli są też drewniane. Co prawda, solanka jest tak bogata, taka wprost gęsta, że warzenie najmniej jest do niej stosowane, — przeważnie zimą tylko, — latem kilkugodzinny pobyt na powietrzu wystarcza: sól się sama krystalizuje. Nie wiem, czem jest spowodowane to „drewniane“ urządzenie warzelni: taniością w leśnej okolicy materiałów drzewnych, czy też nie dającym się pogodzić z solanką metalem, — faktem jest tylko, że ta „drewnianość“ robi przygnębiające wrażenie zupełnego prymitywu. Ze jednak i w takich warunkach z korzyścią pracować można, tego dowodem namacalnym służą całe góry jak śnieg białej soli do picia, szarawej—do wanien; całe stopy skrzyń z gotowymi wyrobami, przygotowanych do transportu. Zupełnie współczesne są tylko dwie małe maszyny: jedna—do



gazowania, druga—do korkowania przesmacznej, radjoczynnej „Morszynki“, która od tej jesieni wyruszy do stolicy i w świat cały wypowiedzieć konkurencję rozmaitym zagranicznym wodom stołowym. Oby tylko zaczęła od tego, żeby była od nich tańsza, — wszak najsłabszą stroną większej części naszych krajowych wyrobów jest ich — drożyzna.

Pani Elżbieta.

PSZCZOŁY

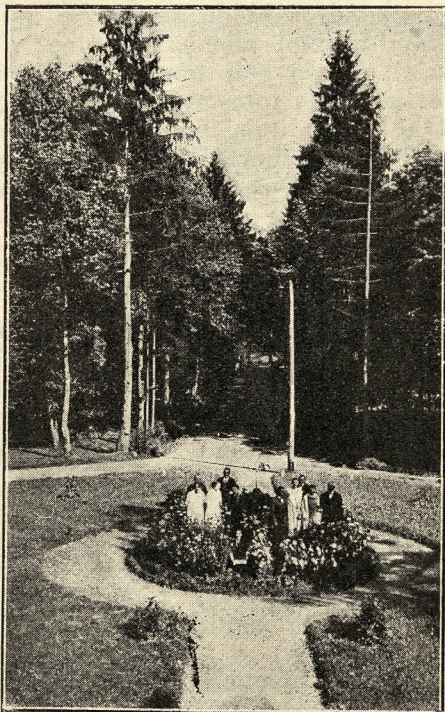
VI.

W okresie głównego pożytku można dodawać tak zwane nadstawki, czyli ramki magazynowe z gotową woszczyną pszczelą, umieszczając je pod daszkiem ula. Nadstawka powinna być zawsze zaopatrzona w gotowe plastry woszczyny, gdyż pszczoły bardzo niechętnie budują ją w nadstawkach. W ostateczności można zaopatrzyć ramki w początki, czyli cienkie paski woszczyny naklejonej, ale tylko wtedy, jeżeli chociaż połowę ramek w nadstawce wypełnimy całymi plastrami gotowej woszczyny.

Miodobranie jest owocem całorocznej pracy i starań pasiecznika. Uskutecznić je należy w miarę wypełniania przez pszczoły plastrów i postępować przy nim umiejętnie, aby nie drażnić niepotrzebnie pszczoł, nie zanieczyszczać miodu i nie utrudniać sobie pracy złem zorganizowaniem takowej.

Miodobranie ułatwiają zapasowe plastry i nadstawki. Plastrami zastępujemy wyjęte z ula, a nadstawki służą nam do przenoszenia plastrów miodnych, które, ustawiane na ziemi przy ulach, zanieczyszczają się łatwo i nie dają nigdy czystego miodu.

Praca przy miodobranii, zorganizowana tak, że jeden człowiek wyjmie plastry z ula, drugi przynosi je w nadstawkach i odsklepia, a trzeci odciąga miód



na miodarce — idzie sprawnie i w ciągu jednego dnia pozwala opróżnić kilkadziesiąt uli. Plastry opróżnione wstawiamy natychmiast do ula i zamykamy go.

Jeżeli miodobranie ma miejsce w czasie silnego wiatku, pszczoły, przebywając w polu, nie przeszkadzają nam w wykonywaniu tej czynności, możemy ją zatem wykonywać na miejscu w pasiece. Pod koniec wiatku trzeba miód odciągać w izbie szczelnie zamkniętej, bo pszczoły rzucają się na wyjęte plastry i niejednokrotnie napadają pasiecznika, już przy wyjmowaniu plastrów z ula.

Przy miodobraniu konieczna jest szczoteczka, lub miotełka z różeg brzożowych, oraz naczynie z wodą, w której takową maczać będziemy, omiatając wyjmowane plastry z pszczoł. Omiatać plastry z pszczoł najlepiej jest przed wyjęciem ich z ula, bo wówczas pszczoły opadają na dno i nie przeszkadzają nam w pracy.

Z plastrami, umieszczonymi w miodarce, postępować należy bardzo ostrożnie, aby się nie połamały. W tym celu, po odsklepieniu plastra i włożeniu go do miodarki, kręcimy takową bardzo ostrożnie, a gdy komórki opróżnią się z miodu do połowy, przewracamy plaster na drugą stronę i postępujemy z nim, jak powyżej. Do odsklepienia plastrów należy mieć specjalny nóż pasieczny, ostry i zmywać go często wodą, aby się nie lepiał. Jeżeli nie nadążymy z odciąganiem miodu tak, aby po zastąpieniu pierwszych wyjętych plastrów zapasowemi, następne wkładać zaraz do ula, czynność tę wykonujemy wieczorem. Plastrów, w których znajdują się wolne komórki do składania jajeczek przez matkę, nie ruszamy i nie opróżniamy z miodu.

Nadstawki opróżniamy z miodu 2—4 razy w ciągu sezonu, to znaczy za każdym razem, kiedy zauważymy, że plastry w nadstawce zostały przez pszczoły wypełnione.

Pod koniec pożytku, co ma miejsce zwykle około dwudziestego szóstego lipca, kiedy kres żniw nadchodzi, trzeba zacząć myśleć o przygotowaniu pszczoł do zimowania.

Koniecznym jest zwrócenie baczonej uwagi nie tylko na to, aby pszczoły miały wystarczający zapas miodu, ale też, aby został on w ulu odpowiednio rozłożony. Przytem jedną z ważniejszych rzeczy jest racjonalne dostosowanie gniazda do siły pni. Pszczoły zimują na dolnej części plastrów, opustoszałych po wyłęg ostatniego przed zimą pokolenia pszczoł; posuwają się miarowo w górę, spożywając miód, jaki się w plastrach znajduje, a jeżeli miodu zabraknie w danym plastrze w czasie zimowego chłodu, kłęb zginie z głodu, gdyż nie ma siły przenieść się na plastry nieogrzone. Pszczoły, kierowane niezawodnym instynktem, gromadzą zimowe zapasy w sposób taki, aby miały do nich dostęp i aby one zawierały odpowiednią ilość miodu. Rolą człowieka jest nienaruszanie tych mądrych urządzeń i wstrzymanie się od przestawiania plastrów w ulu. Idealnym urządzeniem jest pozostawienie w ulu plastrów, wypełnionych do połowy, jednak trudno osiągnąć to w sposób naturalny, gdyż jedne plastry zawierają od $\frac{1}{2}$ —1 kg., drugie zaś bywają doszczętnie wypełnione. Po stwierdzeniu wyżej wymienionej sytuacji, radzimy sobie w sposób następujący: pomiędzy dwoma plastrami, całkowicie napełnionymi stawiamy plaster w miód ubogi, odsklepiając przedtem do połowy komórki w całkowicie napełnionych. Jeżeli czynność tę wykonamy w porę, pszczoły zdążą jeszcze przed zimą przenieść miód do pustych komórek i zasklepić je.

O ile stara matka została pszczołom zabrana, spotkać się można często z objawem zapełnienia przez pszczoły wszystkich plastrów, wtedy odsklepiamy komórki na wysokości jednej trzeciej plastra od dołu i wytrząsamy z nich miód na miodarkę.

Przy gospodarce jesiennej trzeba się kierować normą, która każe pozostawić pszczołom w każdym ulu do dwunastu kilogramów miodu, w ten sposób unikniemy kłopotliwego dokarmiania wiosennego. Tylko w ulach, o pniach wybitnie silnych, należy pozostawić do 16 kilogramów miodu na zimę.

Jedną z jesiennych robót jest też unormowanie wielkości gniazda. Pod unormowaniem rozumiemy zostawienie pszczołom odpowiedniej ilości plastrów, licząc na pień silny 10, średni 8, a słabszy 6. Pnie, wybitnie słabe, które nie obsiadają jesienią więcej nad 5 plastrów, dołączamy do innych, niszcząc gorszą z dwóch matek.

Z robotą przy normowaniu gniazd chodzi w parze ostatni odbiór miodu. Aby nie zacieścić zbyt gniazda, pozostawiamy pszczołom po unormowaniu kilka pustych plastrów, które niejednokrotnie zapełnią jeszcze w sierpniu; jeżeli okolica obfituje w seradę, jaką podsiewają oziminy, lub we wrzosi, wiatki przeciąga się nieraz do końca sierpnia.

Zorientowanie się w tem, czy pozostawiliśmy gniazdo dobrze dostosowane do ilości pszczoł, przypada na chłodny ranek jesienny. Zaglądamy wówczas do ula, aby stwierdzić, jak pszczoły obsiadły plastry. O ile na pierwszym plastrze nie zauważymy pszczoł, znaczy to, że gniazdo jest zbyt obszerne i wówczas usuwamy jeden plaster; jeżeli przeciwnie, pszczoły obsiadły plaster bardzo obficie, jest to dowodem szczupłości gniazda, i należy dodać im jeszcze jeden plaster.

Unormowanie gniazda gra bardzo poważną rolę w życiu pszczoł. Gniazdo zbyt szczupłe powoduje wysoką temperaturę w ulu i pragnienie u pszczoł, które, szukając wody, odkrywają plastry, chcąc nią miód nasycić, a wówczas chorują od rozrzedzonego po odsklepieniu miodu.

Warunkiem dobrego przezimowania jest, prócz wszystkich wyżej podanych, jeszcze i ul, doskonale uszczelniony i nieprzeciekający, oraz dostatecznie na zimę opakowany, aby mógł zachować wewnątrz potrzebną temperaturę.

Zabierając się do opakowania uli na zimę, musimy mieć doskonale wysuszony mech, lub siano. Mchem utykamy szpary pomiędzy ścianą ula, a zatworem, i nakładamy go pomiędzy zatwór, a matę, jaką na nim umieścimy. Umieszczamy również niewielką warstwę mchu pomiędzy płótnem, przykrywającym ramki, a poduszką, jaka na nie przychodzi. Górna poduszka powinna też być ze słomy, która przepuszcza zepsute powietrze.

W ulach, gdzie próżnia pomiędzy ramkami, a dnem ula dochodzi do 80 mm., dobrze jest położyć na dnie matę słomianą, lub prostą słomę, którą wyjmujemy przed wiosennym podmieceniem. Uszczelnienie wszystkich szpar w ścianach ula i daszku jest koniecznym. Daszki, które łatwo zaciekają, najlepiej pokryć cynkową blachą. Aby się taka blacha zbyt nie rozpałała od słońca w okresie upałów, należy ją pomalować na białą.

Czuwanie nad pasieką w okresie zimowym nie przynosi pasiecznikowi wiele trudów, jeżeli w okresie jesiennym nie zaniedbał żadnej ze wskazanych czynności. Jednak nie wolno i wtedy zostawić pasieki zupełnie bez nadzoru. Trzeba zaglądać do niej co kilka

dni, omiatać wyloty ze śniegu, jeżeli zawieje takowe, a w czasie odwilży przysłuchiwać się odgłosom, idącym z ula. Głośne huczenie będzie dowodem, że pszczoły mają w ulu zbyt wysoką temperaturę; wtedy uchylamy nieco daszek dla przewietrzenia, lub w tym samym celu usuwamy boczną poduszkę.

Cichy i równy szum będzie dowodem, że ul zimuje w warunkach zupełnie zadawalniających; zupełnie cisza i odzywanie się pszczół dopiero po zastukaniu w ul, poucza nas o tem, że pszczoły mają zbyt mało pokarmu i cierpią głód.

Gdy nadejdą słoneczne dni zimowe, lub wczesne wiosenne, pszczoły, mogą być oszukane wesołemi promieniami słonecznymi, jakie wpadają do uli, szczególnie ustawionych wadliwie, to jest wylotami na południe, lub zachód;—należy wyloty zatkać deseczkami, lub słomianemi wiechciami, aby zapobiec wylatywaniu pszczół z ula, gdyż chłód, panujący na dworze, przyprowadzi je o śmierć niechybną.

Zimowanie pszczół na dworze ma jedną wielką niedogodność, mianowicie grozi wykradzeniem miodu przez złodziei, których ustrzec się trudno, a którzy, wykradając zimą miód, skazują tem samem tysiące pożytecznych pracownic na zagładę. Wogóle pomiędzy szkodnikami, godzącemi na spokój, dobrobyt i życie pszczół, najszkodliwszym jest człowiek, który przez wykradanie miodu zimą, gospodarzę rabunkową, a prowadzącą do osiągnięcia największej ilości miodu z hodowanych pni, lub też nieumiejętnie roztoczoną nad pszczołami opiekę—podkopuje ich byt i uniemożliwia im owocną pracę.

Do niebezpiecznych szkodników należą też ptaki, które lubią wydlubować dziury w nadpróchniałych ulach i wybierać z nich pszczoły, lub też stukaniem w ul wywabiają owady i pożerają je. W sezonie letnim cierpią też pszczoły od ptaków, wyłapujących je w powietrzu. Poważnym nieprzyjacielem pszczół są myszy. Należy doskonale zabezpieczać przed nimi zimujące pnie, dając na wylocie drut, ułożony w krzyż aby się mysz przez niewielki otworek dostać nie mogła, inaczej spotkamy często wiosną w ulu gniazdo mysie, plastry pocięte, a pszczoły spadłe.

Z owadów do najniebezpieczniejszych szkodników zaliczamy motylicę, która przyczynia się do wyginięcia pnia; dalej mrówki, które wciskają się przez najmniejsze nawet szpary do uli, wyjadają miód i, ciszkając się po kilka na pszczołę, zacinają ją. Pająki zastawiają też swe sieci, omotując ściany ula i łapiąc w ten sposób pszczoły. Osy i szerszenie wyjadają pszczołom miód i pożerają je. Prócz wyliczonych tutaj, jest jeszcze dużo drobnych, a uprzykrzonych szkodników; jednak wymienione zaliczamy do najgłówniejszych, a o tem, jak strzec przed nimi naszą pasiekę, pomówimy kiedyindziej, pouczając równocześnie czytelniczki o racjonalnem odbieraniu i przechowywaniu produktów pszczelich.

W. D.

LABORATORJUM HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW
podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniźnie. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.
HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

UTRZYMANIE MIESZKANIA W PORZĄDKU

Czyszczenie złotych ram. Aby ramy i wszelkie złocenia uchronić od much, trzeba je natrzeć olejem laurowym. Ramy złoczone czyszczą się doskonale i stają się błyszczące wskutek następujących zabiegów:

1) Trzeba je najpierw zmyć delikatnie zapomocą małej gąbki, umaczonej w spirytusie, lub terpentynie. Gąbka powinna być zaledwie wilgotna. Wycierać nie trzeba.

2) Można potem — o ile są plamy—wytrzeć je lekko kawałkiem flaneli, zmoczonej w białku, i pozłocić złotem, używanem przez rzemieślników.

3) Obmywać ramy piwem, miękkim gałgankiem. Dla wytępienia much, aby uchronić ramy od plam, trzeba w każdym pokoju postawić jedną z następujących, nieszkodliwych mieszanin: pół łyżeczki zwykłego pieprzu, łyżeczkę cukru i śmietanki, albo zielonej herbaty mocnej; albo łyżkę laudanum na wiórki z kwasji, wygotowane poprzednio: muchy znikną.

Czyszczenie bronzów złoczonych. Bronzy myć należy szczotką, dobrze zmoczoną wodą; potem należy przedmiot czyścić szczoteczką, zmoczoną w płynie następującym: 60 gr. wody, 15 gr. karbolu, 2 gr. ałunu. Następnie wysuszyć na słońcu, lub przy umiarkowanym ogniu. Dla oczyszczenia z plam po muchach trzeba przygotować następującą mieszaninę: olejku lawendowego — 4 gr., alkoholu 27 gr., wody 14 gr. Nie należy bardzo trzeć; używać tylko miękkiej gąbki.

Słaby roztwór mydlany, lub woda z amonjakiem czyści dobrze posągi i ornamenta z brązu.

Czyszczenie marmurów. Marmur czyści się doskonale sposobem następującym.

Na dwie części sody, część wapna sproszkowanego. Rozmieszać z wodą, zrobić rodzaj ciasta i powlec marmur. Zmyć potem wodą mydlaną.

Biały marmur czyści się w sposób następujący: Najpierw wymyć dobrze mydłem zwykłym i potaszem. Gdy wszystkie plamy znikną, można polerować zapomocą gęstej oliwy i sproszkowanego kamienia.

Gdy śnieg pada, trzeba posągi marmurowe, które nie są pod dachem, zakrywać, gdyż śnieg niszczy marmur.

Obicia. Obicia czyszczą się zapomocą flaneli, uwiązanej na długiej szczotce. Tłuste plamy znikną, gdy się je kilkakrotnie posmaruje gliną, rozrobioną z wodą. Jeśli są bardzo zadawnione, mogą tak pozostać przez całą noc.

Czyszczenie miedzi. Miedź delikatniejsza powinna być wytarta kawałkiem węgla, a potem wleńnianym gałgankiem.

Grubsza miedź musi być wytarta mocnym amonjakiem, a potem silnie czyszczona szczotką. Po pięciu minutach miedź stanie się jasna, błyszcząca, zupełnie jak nowa. Płucze się w czystej wodzie, wyciera dobrze gałgankiem.

Nigdy nie należy czyścić miedzi kwasami. Traci wówczas połysk. Sok cytrynowy, zmieszany z białą farbą, która neutralizuje kwasy, czyści dobrze wiszące miedziane przedmioty. Lepiej jeszcze użyć oliwy, zmieszanej ze sproszkowanym pumeksem. Wyciera się następnie do sucha.

Naczynia kuchenne miedziane winny być umyte w roztworze $4\frac{1}{2}$ litr. wody ciepłej, w której rozpuszczono łyżkę sody. Wkłada się je w tę wodę i trze piaskiem przesianym, albo naciera szarem mydłem. Potem spłókuje i wysusza. O ile potworzyły się plamy zielone, to trzeba je wyczyścić octem, rozcieńczonym wodą.

Naczynia z blachy. Przedewszystkiem nowe przedmioty powinny być napełnione wodą i wstawione do ciepłego pieca na kilka godzin, zanim się je weźmie do użytku. Nafta blaszanym naczyniom nadaje połysk srebra. Trzeba umaczać wełniane gałganki w naftie i dobrze wycierać. Gdy potrzebują czyszczenia, to używa się do tego mieszaniny oliwy z popiołem i trze się energicznie wełnianym gałgankiem. Można dodać proszku węglowego. Niektórzy wygotowują naczynia w wodzie z sodą.

Cyna czyści się zapomocą cebuli, lub porów, którymi naciera się mocno przedmioty, a potem spłókuje octem z wodą.

Naczynia żelazne. Żelazo błyszczące poleruje się zapomocą oliwy i żwiru. Nowe naczynia powinny być wygotowane przed użyciem. Gdy się zjawia rdza, trzeba czyścić papierem szklanym, potem wytrzeć terpentyną, albo oliwą.

Aby uniknąć plam rdzawych na żelazie, należy je posmarować gorącym olejem lnianym bez wycierania. Przedmioty żelazne można uchronić od rdzy, wkładając co dwa lata do roztworu z sody.

Inne metale. Srebro czyści się najlepiej słabym roztworem amonjaku — łyżeczka na szklanekę wody — nacierając gałgankiem.

Zanim użyjemy imbryka z metalu angielskiego, należy w nim, zdjawszy pokrywkę, dwa razy zaparzyć herbatę; potem, gdy zimna, wylać ją.

Imbryki po każdym użyciu powinny być wytarte cienką ściereczką, potem, aż do połysku, wycierane skórką zamszową. Gdy były zaniedbane, trzeba je wytrzeć starannie flanelką, zmaczaną w oliwie; poczem aż do połysku, wycierać skórką zamszową, natartą zlekką białą farbą. Gdy są bardzo brudne, w złym stanie, myje się je w ciepłej wodzie, potem trze skórką zamszową i wreszcie gałgankiem, w białej farbie zmaczanym.

Stare srebra można także wygotowywać przez pięć minut w wodzie z mydłem i ostrożnie czyścić szczotką dopóki są ciepłe. Spłókać, wysuszyć miękką ściereczką, lub skórką zamszową. W gospodarstwie, porządnie zorganizowanem, musi być zawsze kilka skórek zamszowych do różnych użytków.

Noże stołowe. Należy umaczać korek w proszku od noży i silnie wycierać nim obie strony ostrza. Potem wypolerować suchą ściereczką.

Można także — zabezpieczywszy najpierw ostrze woskiem, lub parafiną — zanurzyć trzonki w roztworze chlorku wapiennego, (jedna cząstka chlorku, cztery — wody). Zostawić tak na cały dzień. Wymyć potem w ciepłej, czystej wodzie. Wytrzeć do sucha.

Ostrze trzeba rozgrzać dla usunięcia parafiny, lub wosku.

Dobrze jest także czyścić trzonki roztworem ałunu i wody, o ile nie są bardzo zaniedbane. Dla wypolerowania ostrzy, można użyć proszku z mastyksu na kole skórzanem, zwilżonem alkoholem. Trzonki nie ucierpią wcale.

Ceraty stołowe. Cerat używa się przy śniadaniu, o ile odbywa się w kółku rodzinnem. Przydadzą się bardzo i w czasie obiadów tam, gdzie są dzieci i gdzie

należy liczyć się z praniem. Zmywanie obrusów ceratowych nie jest wcale rzeczą trudną. Myje się je zwyczajnie wodą czystą zapomocą gąbki i wyciera miękką ściereczką. Dobrze jest za każdym razem wysuszyć obrus ceratowy na słońcu, rozciągając go na trawniku, stroną lakierowaną ku górze, albo, o ile to jest w mieście, przysuwając stół ku słonecznemu oknu.

Od czasu do czasu, trzeba spłókiwać ceratę wodą, zmieszaną z mlekiem: obrus ceratowy staje się przez to bardziej błyszczący, czysty, dłużej zachowuje giętkość.

Chcąc, by cerata trwała dłużej, strzec się należy stawiania przedmiotów zbyt gorących, kwasów żrących, oraz unikać uderzeń i zmięcia.

Utrzymywanie w porządku fortepianu i pianina. W czasie dni upalnych fortepian nie powinien stać w wilgotnym pokoju, ani na przeciągu, zwłaszcza, gdy jest otwarty. Wilgoć jest największym jego wrogiem, również jak i silne upały. Gdy się nie gra, fortepian powinien być zamknięty, a eleganckie przykrycie z atlasu i haftów, lub w braku takowego, flanela powinna zawsze leżeć na klawjaturze. Aby wypłoszyć myszy z fortepianu, wkłada się w kącie instrumentu nieco kamfory, zawiniętej w cienki papier.

Ślady palców na lakierze pudła można usunąć, zmywając je lekko wodą ciepłą: nie psuje to bynajmniej drzewa.

Nowy fortepian powinien być strojony najmniej co dwa miesiące w ciągu pierwszego roku. Potem stroić go można znacznie rzadziej.

Gdy heban traci swój kolor, to należy go myć wywarem garbnika, do którego dodajemy nieco opiłków żelaznych. Potęguje to naturalną czarność drzewa,



WRZESIEŃ W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Jeśli przez lato całe pisałam głównie o zajęciach i pracach pań na wsi, to dzisiejszą pogawędkę poświęcę prawie wyłącznie kłopotom pań, które bądź stale, bądź czasowo, dla wychowania dzieci, mieszkają w miasteczkach. Powrót z kuracji, lub letniska, początek roku szkolnego, przygotowanie jakichbądź spóźnionych zapasów, urządzenie mieszkania na zimę, uporządkowanie garderoby własnej i dzieci, — wszystko to spada od razu na rozleniwioną nieco letniami wczasami panią domu. Zaczyna się wszystko od garderoby dzieci: jedno się podarło, z drugiego wyrosły, a w rezultacie nic nie mają do włożenia.

Ostatniemi laty ogromnie się rozpowszechnił zwyczaj kupowania gotowych ubranek, gotowych mundurków, fartuszków itp. Zmniejsza to, oczywiście, kłopot matki, a nawet, pozornie, jest niezbyt kosztowne: — tańsze od robienia nawet w domu z dobrego materiału. Podkreślam: z dobrego, — bo właśnie taniość tych ubrań polega na tem, że są robione z lichych gatunków tkanin i po jednym sezonie są przeważnie nie do użycia. Uszycie w domu ubranek z mocnego, trwałe-

gó materiału, pozostawiając zapasy w szwach i robiąc duże obrębki, dla dziewczynek — dla chłopców odpowiednie zapasy polecając zrobić krawcowi; zawsze się czasem opłaci, gdy zamiast jednego roku, te same mundurki dwa, lub trzy lata przesłużą, nie błyszcząc po miesiącu i nie przecierając się na łokciach i kolanach po trzech miesiącach noszenia. Jeżeli można sobie poradzić z ubraniem, gorzej jest z podręcznikami. Nasze, wciąż szukające lepszych, nowych dróg, szkolnictwo, tak je wciąż zmienia, wprowadzając coraz to inne, że rodzice wprost nie mogą podołać ich kupowaniu; dawniejsze zaś, nie dające się ani użyć, ani zbyć, powiększają składy rupieci. Tu już żadna wskazówka praktyczna nic nie pomoże; nawet pod placki ta makulatura się nie przyda! Następny kłopot, to naczynia stołowe kuchenne. Talerze, filiżanki, szklanki się powybiły, (same?!), półmiski popękały, rondle przepaliły lub poodskakiwała w nich emalia itd. itd. ścierki się zdarły i tak można jechać bez końca.

Wiosną to się jakoś jeszcze trzymało, jeszcze łątało, jesienią—brak wszystkiego. Służba dzisiejsza jest nieumiejtna i niedbała, wprost nie można—na codzień przynajmniej—używać wykwinniejszych naczyń. Jesteśmy zmuszeni nabywać gładkie, białe porcelanowe naczynia, (porcelana, nieco droższa od fajansu, jest znacznie mocniejsza), najprostszego typu szklanki, kieliszki itp., ażeby co roku móc dokompletować nasze codzienne serwisy. Wszelkie malowane lub drukowane naczynia, grawerowane lub szlifowane szkła nie dają się dobrać, a domalowywanie pobitych sztuk porcelany jest zupełnie niemożliwe wobec braku wypalarni takowej. Co do naczyń kuchennych, to do częstego użytku najlepiej zaopatrzyć się w rondel aluminiowy, biorąc tylko mocne, grube, krajowego wyrobu. Niemieckie, znacznie tańsze, lecz cienkie, nietrwałe, nie wytrzymują często i jednego sezonu.

Dobry zaś rondel, z grubego aluminium tłoczony, może służyć lat dziesięć i więcej, o ile przekonamy kucharkę, że soda nie jest jedynym środkiem, czyszczącym naczynie, a dla aluminium, specjalnie jest zabójczą. Ścierki nowe trzeba kupić, — dobrze jest postarać się, o płótna lniane, włościańskie: im mniej bielone, tem mocniejsze. — Od czasu, jak weszły w użycie elektryczne odkurzacze, zupełnie zapomniano o tem, że nie tylko kurz niszczy dywany, lecz i wilgoć, i że jeśli można zabronić trzepać je na dziedzińcach, to należy jednak pozwolić je wietrzyć i przesuszać. Takie przesuszenie przed zimą jest konieczne jeszcze ze względu na usunięcie zapachów, użytych do ich chronienia od moli. Już nie mówiąc o wstrętnej naltalinie, zapachy terpentyny, czy tytoniu, bagna, czy paczuli też całymi tygodniami zatrują nam powietrze w mieszkaniu.

Przy zaciąganiu posadzek najlepiej jest przyrządzić w domu zaprawę do nich: jest to i tańsze i sama zaprawa nie zawiera kleju, farb różnych i tym podobnych zbytecznych dodatków. Najprostszym sposobem jest rozpuszczenie w rondlu, (na zakrytej blasze) pół kilo naturalnego, lub sztucznego wosku w litrze terpentyny. Po odstawieniu daleko od ognia, dolać ćwierć litra benzyny i mieszać kopystką, aż masa zgęstnieje. Nakoniec, po długiej nieobecności, śpiżarnia nasza jest pusta, — a sezon jagód i owoców letnich już minął. W tym roku specjalne są trudności, bo gruszek i śliwek mało, i są drogie. Możemy jeszcze smażyć berberysy i melony; te ostatnie, jeśli nie bardzo dojrzałe, są najlepsze, jak na konfitury, tak i na sałaty octowe. Jabłka słodkie i jabłuszka syberyj-

skie też się smażą doskonale; z borówek—oprócz konserwowania ich w butelkach, którego sposób już w „Bluszczu“ podałam, smażeniu prostszych, mniej słodkich konfitur na sałatę,—można zrobić lepsze konfitury, parząc je wrzątkiem przed usmażeniem i używając większą ilość cukru, lub też przerabiając je na wyborną galaretę. Dynia pomarańczowa i kabaczki białe doskonale zastępują gruszki i śliwki na sałatę octową. Marmelady jabłeczne, takie zdrowe dla dzieci do chleba i bułki, są stanowczo smaczniejsze od śliwkowych powideł i, przyrządzane w domu, o połowę od nich tańsze.

Jeśli już prawdziwych grzybów brak na targach, to zwykle we wrześniu spotykamy rydze i nie dosyć u nas znane i używane gąski, które, marynowane, niewiele rydzom ustępują. Nakoniec, każdej z pań, czy to w mieście, czy na wsi zamieszkałej, radzę popróbować zrobić bodaj jeden gąsior wina owocowego,—najlepiej jabłecznego. Za dwa złote laboratorium fermentacji wydziału chemicznego Politechniki warszawskiej wysła drożdże żadanego gatunku, (reńskie, francuskie, węgierskie,) a poza jednorazowym kłopotem miesienia i wyciskania moszczu, reszta pracy przy wyrobieniu jest minimalna, a daje doskonałe rezultaty w postaci wybornego, smacznego, taniego a zdrowego trunku.

Pani Elżbieta.



HARBUZY I HARBUZIKI

Wobec coraz częściej przepisywanej i stosowanej diety jarskiej, oraz wciąż rosnącej drożyzny mięsa, jesteśmy zmuszeni uczyć się użytkować rozmaite, dotąd mało znane, lub pogardzane jarzyny. Do nich należą rozmaite gatunki dyni, zwanych też, na kresach szczególnie, harbusami. Kultura ich jest ogromnie łatwa i niema prawie włościańskiego ogródka, w którymby się nie rozpierała olbrzymia bania, dynia, harbus, i jak tam ją jeszcze w danej okolicy nazywają. Używają jej jednak przeważnie tylko na zupę, lub kaszę, rozgotowując ją na mleku z jagłami na wsi, z ryżem—w mieście.

Jest to dosyć mdła potrawa, którą wiele osób się wprost brzydzi. Już to w ogóle wielką, pomarańczową dynię niekażdy jada: ma ona specyficzny smak, który nie wszyscy lubią, kto jednak go znosi, może mnóstwo dań z dyni przyrządzić. Najłatwiejszym jest pokrajanie jej w niezbyt grube kawałki, utarcie w mące, jajku i bułeczce i usmażenie na maśle, lub fryturze: danie to jest bardzo znane w jarskiej kuchni. Mniej znaną jest zupa przecierana na rosolu mięsny, lub smaku jarzynowym, zaprawiona mąką, masłem i żółtkami, z grzankami, lub pasztecikami; może ona znaleźć miejsce nawet na wykwinnym stole. Budyń z dyni,—przyczem można dodać dla utrzymania zbyt delikatnej masy dyniowej, bądź mąki zaparzonej z ma-

słem i wodą, jak na ciasto parzone, bądź też na gęsto ugotowanej kaszy jaglanej, polanej rumianem masłem, lub sosem śmietanowym, — jest potrawą nie do pogardzenia. Purée z dyni, zaprawione zupełnie tak samo, jak purée kartoflane, jest doskonałym dodatkiem do wieprzowych kotletów, z którymi smakiem harmonizuje. Pickle ostre i słodka sałata octowa są ładne na wygląd, przyczem ostatnia, to jest sałata octowa, z dodatkiem wanilji; znakomicie imituje sałatę z melona. Duże pomarańczowe dynie, o ile nieuszkodzone mrozem na ogrodzie, są bardzo trwałe i mogą całymi miesiącami leżeć w chłodnej, suchej spiżarni. Nie należy ich nigdy trzymać w piwnicy, gdyż od wilgoci łatwo gniją. Obok dyni pomarańczowej, mamy wyborne kabaczki. Ojczyzną ich jest południe, ale nietylko klimat Kongresówki doskonale wytrzymują; dają się hodować wszędzie na najdalszych kresach Rzeczypospolitej. Coraz częściej zjawiają się one na rynkach stolicy. Białe, podłużne, używane są bądź jako dorastający owoc, bądź jako nieduże, niewiele większe od zwykłego ogórka, zawiązki. Smak zawsze mają delikatny i wykwintny, żadnego obcego posmaku; mięso śnieżno białe; mogą doskonale wytrzymać konkurencję z najdelikatniejszymi jarzynami, w rodzaju szparagów, kalafjorów, karczochów i t. p. Przeważnie przyrządza się je duszone, lub gotowane, nadziewane mięsem z łojem, jak na kołduny, mięsem z ryżem, jak gołąbki, ryżem z jajami, ryżem z grzybami, na koniec — co jest wyborne — kapustą, przyrządzoną, jak na ruski kulebiak. Podaje się je z różnymi sosami, najczęściej ze śmietanowym, lub pomidorowym. Kombinacja ich smaku ze smakiem pomidorów jest szczególniejszą szczęśliwą, to też na Krymie i na Kaukazie, zamiast gotować, duszą je odrazu z pomidorami. Młode kabaczki, z jeszcze nierozwiniętymi ziarnkami, po obraniu ze skórki, kraje się w grube na palec plasterki i smaży, jak u nas jabłka, to jest w cieście z jajami, lub też w jajku i bułeczce. Oba te sposoby są równie dobre; dopiero po usmażeniu posypuje się je drobną solą i podaje zwykle z krajaną w ćwiartki cytryną. Zupa purée z kabaczków, zaprawiona żółtkiem i przyrządzona na dobrym, mięsnym rosolu, jest wyborna. Pickle ostre i sałata octowa słodka z nich odznaczają się prześlicznym, czysto białym kolorem.

Nakoniec muszę wspomnieć o jednym jeszcze gatunku harbuzików, których u nas nie spotykałam, a które jadałam późną jesienią w Rumunji i Odesie. Są one zupełnie małe, złocisto-żółte, rosną całymi gronami. Używają ich, jak fasoli szparagowej, którą bardzo w smaku przypominają, gotując je i podając z masłem i bułeczką. Byłoby bardzo pożądanem, aby nasi ogrodnicy, — zmuszeni przez konkurencję włościan w hodowli jarzyn zwykłych, do szukania nowych dróg, — zechcieli wypróbować, czy ten gatunek harbuzika nie da się u nas zaaklimatyzować. Jest wyborny i widocznie nie grymasny: Widziałam stosy tych ślicznych harbuzików na rynku w Bukareszcie; prześliczne, jasno żółte, cudownie harmonizowały z takimiż stosami ponsowych pomidorów, fioletowych i białych bakłażanów. Oczy to rwało, a ślinka do ust napływała.

„CZEBUREKI“

Nazwa, nieznana w Polsce, chociaż pamiętać ją muszą ci wszyscy, co kiedykolwiek zwiedzali piękny Krym i tego miejscowego przysmaku próbowali. Wiem, że większość gospodyń będzie się bała próbować tej

barbarzyńskiej, według ich pojęć, potrawy; te jednak, które się na to odważą, nie pożałują. Danie jest bardzo tłuste i mogą je jadać ci, którym kołduny na zdrowie nie szkodzą. W miejscowościach, gdzie jesienią tylko baraniny dostać można, będzie ono pożądanym urozmaicheniem jadłospisu. Pół kilo tłustej, młodej baraniny usiekać jaknajdrobniej, (przepuścić dwa razy przez maszynkę) dodać pół pietruszki, utartej na tarce, garstkę zielonej siekanej pietruszki, osolić, wsypać odrobinę pieprzu, farsz dobrze wymieszać. Pół kilo mąki, jedno żółtko, trochę soli i łyżeczkę tłustego masła zagnieść z wodą na ciasto tak gęste, jak na makaron. Rozwałkować jaknajcieniej, wycinać spora filiżanką krążki, na każdy kłaść łyżkę baraniny, mocno zacisnąć brzegi. Smażyć w głębokim naczyniu na rozpalonym łoju baranym tak, jak pączki. Osączyć na sicie, lub bibule i podawać bardzo gorące. Do nich cytrynę, pokrajaną wzdłuż na ćwiartki. Są tak delikatne, że topnieją wprost w ustach.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Zdrowe i oszczędne są zupy jarzynowe; zwłaszcza dzieciom są bardzo zalecane. Najlepsza proporcja jest wziąć 500 gr. purée z jakiegokolwiek, lub z kilku zmieszanych jarzyn. 100 gr. masła i półtora litra wody, w której gotowały się jarzyny. Rozprowadzić purée smakiem jarzynowym, zaprawić masłem, przesmażonym z łyżeczką mąki, posolić; kto lubi, może do zaprawy użyć, prócz masła, trochę słodkiej śmietanki, albo 2 rozbite żółtka wlać do wazy, mieszając z niemi supę powoli, żeby się nie zwarzyły. Dla podniesienia smaku dobrze jest dosypać trochę tartego ostrego sera. W ten sposób robione są restauracyjne zupy o szumnych nazwach: Parmentier — kartoflanka, St.-Germain — grochówka, à la Condé — fasolowa, Dubarry — kalafjorowa i t. d. — często nawet z pozostałych jarzyn przygotowane.

* * *

Jeżeli mamy podać potrawkę, lub sztukę mięsa z jarzynkami, które gotowały się w rosolu — nie trzeba obierać marchewki, tylko lekko oskrobać — najpożywniejsze bowiem części są tuż pod skórą; pietruszkę przeciwnie, trzeba dobrze obrać, aby zużytkować tylko części miękkie.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DC G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP, TEL. 273-34.

KORESPONDENCJE

Pani J. M. Hrubieszów. Wszelkich dodatków i narzędzi, potrzebnych do liworyzacji, dostanie Sz. Pani w Warszawie, w firmie J. Buroff—Nowy Świat Nr 47.

Pani E. G. Marchocice. Zła woda, zrośnięty, lub zatęchły posład,—bywają przyczyną tej groźnej choroby; także kurniki, źle i niehigienicznie utrzymywane, ważną tu odgrywają rolę. O dokładne wskazówki uniknięcia i leczenia tej choroby radzimy zwrócić się do C. T. R.—dział drobnej hodowli—Kopernika 30, adresu-jąc do p. dyrektora M. Trybalskiego, naszego stałego współpracownika.

Pilnemu czytelnikowi „Bluszczu“. Do przyklejania aplikacji używa się kleju do fotografii, który nie plami i po wyschnięciu mocno trzyma. Można również zrobić doskonały klej kauczukowy w domu z pokruszonych kawałków zeszlých rurek gutaperkowych, które wsypać do butelki, zalać benzyną, mocno zakorkować, postawić w cieniu. Potrząsać płyn codziennie, a po kilku dniach guma rozpuści się i da doskonały klej. Trzeba tylko trzymać go w cieniu i zamykać hermetycznie, bo się ulotni. Co do sposobów klejenia szkła i porcelany,—o ile klej dokładnie przygotowany, a wszelkie warunki zachowane,—bezwarunkowo jest doskonały, trzeba tylko, aby przedmiot, przeznaczony do sklejenia, nie był niczem klejony poprzednio. Na inne kwestje, poruszane przez Sz. Pana, sądzę, że znajdzie Pan odpowiedź w jasno zaznaczonym kierunku naszego pisma, które, informując o wszystkim, co na szerokim świecie jest używane,—stara się doradzać tylko to, co jest praktyczne i pożyteczne. Pewna jestem, że rozsądek czytelniczek naszych najlepiej wskaże im to, co dla nich odpowiednie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

B. M. Jar. Zmiana koloru włosów, po zastosowaniu nieodpowiednich środków na porost włosów, jest bardzo trudna do usunięcia. Niestety, jest to przykra nauka dla pań, które stosują środki bez wskazań lekarskich. Obecnie należy pielęgnować włosy racjonalnie, unikać środków żrących do mycia włosów; po pewnym okresie czasu włosy mogą wrócić do dawnego koloru.

Pani Dobrzańskiej, Konieczne jest mycie twarzy mydłem; musi ono być tylko najlepszej jakości, zastosowane do najdelikatniejszej cery. Do mydeł bardzo delikatnych należą poziomkowe i liljowe; cytrynowe nadają się raczej do skóry mniej wrażliwej. Skóra, która nie jest zmywana mydłem, nie oddycha, więdnije i bardzo szybko wiotczeje. Jeśli skóra nie znosi naprawdę mydła, należy ją leczyć. Przy bardzo wrażliwych skórach po umyciu w letniej wodzie wycierać twarz dobrym, higienicznym kremem. Najlepsza do mycia twarzy jest woda deszczowa; na prowincji, gdzie często bywa t. zw. „twarda woda“, dodawać łyżeczkę boraksu, lub perełek alkalicznych.

Plamy ciemne po porodzie najczęściej ustępują samoistnie bez leczenia. Przyczyna powstawania dotychczas niewyjaśniona; prawdopodobnie gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu wpływają na

wytwarzanie się tych przykrych zmian cery. Leczenie złuszczone jest delikatne, gdyż skóry nie zadrażnia. Bywają jednak wypadki, że, pomimo złuszczenia, narasta nowa skóra, również pokryta plamami. Pozostaje wtedy stosowanie kremów wybielających i pudru higienicznego, odpowiednio dobranego do koloru skóry.

Wanda Sosnowiec. Na siwienie włosów, niestety trudno jest poradzić: pozostaje tylko farbowanie, lecz niema idealnej farby, którąby można polecić. Wszystkie mogą dać niespodziewane wyniki w odcieniach. Stosunkowo najlepsze — pochodzenia roślinnego. Zielony kolor włosów może wystąpić przy najlepszej farbie, o ile włosy przedtem są źle odtłuszczone. Ogólne wskazówki należy stosować do pielęgnacji włosów. Czasem wypadanie włosów, łamanie, oraz siwienie w wieku młodym ma za przyczynę zbyt częste mycie nieodpowiednimi środkami. Ograniczenie mycia, oraz zastosowanie dobrych środków, nie zawierających żrących substancji, bardzo często daje dobre rezultaty. Jeśli to nie odniesie skutku, należy leczyć cierpliwie i systematycznie.

K. K. Odziębienie nóg. Będzie umieszczona dłuższa odpowiedź. Narazie proszę stosować okłady gorącej parafiny, lub mczenie nóg w gorącej wodzie z dodatkiem ziół aromatycznych. Przy zadawnionych sprawach leczenie światłem jest bardzo wskazane.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów“
 SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW
CENA 1 zł. 50 gr.
 Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.
 Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
 Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach“
 WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW
CENA 1 zł 50 gr.
 Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.
 Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
 Za zaliczeniem nie wysyłamy.